



ROK LIX

№ 36

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 4 WRZEŚNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Mój dom jest mi zamkiem — a. n. Obóz w Jeziorach (korespondencja „Bluszczu”) — H. Ceysingerówna. Nasze pensjonaty i domki podmiejskie — C. W. G. K. Chesterton o domu i o kobiecie (przekład Zbigniewa Grabowskiego d. c.). Paul Bourget — poeta obowiązku — Z. R. Wiersz: Groszki — Felicia Kruszevska. Kiedy już będziesz duży (d. c.) — Władysław Rymkiewicz. Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości, autoryzowany przekład z włoskiego Tadeusza Jakubowicza) — Paulo Montegazza. Córnka Boga (d. c.) — Z. Zawiszanka. Tajniki świata zwierzęcego (d. c.) — Janina Maszewska-Knappe. Kobieta w świecie i w domu — R. P. Dział praktyczny: Mody i roboty. Modne abażury. Hafty i aplikacje — Well. Polska współczesna. Truskawki — Stan. Schönfeld. Zużytkowanie jabłek — Pani Elżbieta. Zalety towarzyskie — W. N....cka. „Rzucam myśl” — Pani Elżbieta. Dobre rady. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — Concha Espina (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów.

MÓJ DOM JEST MI ZAMKIEM.

„My home is my castle”.
(Przysłowie angielskie.)

Bądź pozdrowione wspomnienie z lat dziecięcych dużego starego domu w głębi wiejskiego ogrodu! Słyszę jeszcze ciszę, otulającą mroczne kąty we wczesny zmierzch zimowy. Za oknem zadymka. Nagie gałęzie tak dobrze znanych drzew ubiela puszysta okiść śniegu. Na ziemi gruby dywan bieli, nieskalanej żadnym śladem. Wokoło pustka. A jednak, jak w niej dobrze, przytulnie — w domu! Od ogniska na kominku rozpełzają się czerwone blaski, padają na ceratową kanapę, przedstawiającą w zabawach okręt, kolej, salon, szkołę, sklep — wszystko.... Obok, w stołowym pokoju pali się już lampa, wisząca pod białym, mlecznym kloszem i rzuca jeszcze światło na kochane, stare sprzęty. Słysząc tik tak zegaru. Czyjeś kroki, przechodzące przez sień z kuchni do izby czeladnej — swoje kroki, nie obce. Cisza zapada w duszyczkę dziecięcą — na życie. Błysk ognia wlewa się ciepłem w pierś malutką i rozżarza w niej znicz niewygasły — dla siebie, dla ludzi, dla świata...

Czuję rozkosz tamtych chwil mimo dziesięcioleci, jakie mnie od nich dzieli.... Mam w sobie wciąż jeszcze uśmiech szczęśliwości, z cisy wiejskiego domu, naszego domu zrodzony. I w wielkim zrozumieniu daru, jaki mnie spotkał, w najtrudniejszych borykaniach się z losem chcę dziecku własnemu dać na jego życie chociażby przybliżone takie wspomnienie, chociażby słabe jego naśladownictwo, na jakie stać nas wśród kamienic Warszawy....

Myślę nieraz, że to powojenne pokolenie, które niewątpliwie mniej od nas starych uczuć posiada, jest takim dlatego, że w dużej swej części wychowywało się bez domu, albo w domu, nie zasługującym na tę

świętą nazwę. Myślę nawet, że pewne ujemne cechy życia polskiego, takie, jak brak organizacji, niewytrzymałość, chaotyczność, związane są jaknajściślej ze specyficznie polskimi niedomaganiem życia rodzinnego i że wraz z ich usunięciem dałyby się wyleczyć. Za specjalny brak w bytowaniu rodziny w Polsce poczytuję zewnętrzną stronę naszych domów — nasze mieszkania.

Czy można wynieść poczucie ładu i koordynacji z mieszkania, najczęściej przepełnionego, w którym jeden drugiemu wciąż przeszkadza, a wszyscy razem tylko dlatego nie uciekają przed hałasem i odorami, przepełniającymi całą t. zw. kamienicę, że uciec nie ma dokąd? Czy można mieć zdrowe ciało, zdrową duszę i wiarę w jutro, mieszkając w norach, stanowiących legowiska polskiego proletariatu wiejskiego? Czy ciasnota, brud i zaduch chałup wiejskich nie wyściskają swego piętna na całej jaźni chłopca?

A niestety, nie jest to wszystko przemijającym objawem powojennym. Obecnie jest gorzej, niż było kiedykolwiek: ludność z roku na rok wzrasta, a domów i mieszkań tak, jak nie przybywa. Przeludnione, nieodświeżane, a tandetnie najczęściej pobudowane dawniejsze mieszkania urągają już wszelkim wymaganiom Europejczyka. Ale zawsze mieszkaliśmy tak źle, jak żaden z narodów kulturalnych.

Stara to bolączka. Pamiętnikarz, który odwiedził Polskę, jako dworzanin Henryka Walezjusza, natrząsa się nad obyczajami polskimi, przy których w jednej izbie mieszkają ludzie i zwierzęta. Podróżny, który zwiedzałby wsie polskie w 350 lat później, w wieku statków powietrznych i telegrafu bez drutu, mógłby poczynić takie same spostrzeżenia. W całej Europie (nie wyłączając Rosji przedwojennej) niema miasta, w którym byłaby taka ilość mieszkań suterrenowych

i poddaszowych, jak w Warszawie. Pisał o tem w swoim czasie człowiek uznany i szanowany — Suligowski, ale pisał bodaj on jeden. I głos jego przebrzmiał bez głębszego echa. Dziś składa się wszystko na brak gotówki, na niedawną przeszłość inflacyjną i ogólną biedę w kraju. Ale kryzys gospodarczy stanowi, stały objaw życia całej Europy od lat ośmiu, to znaczy od samego zamknięcia działań wojennych. Inflację nielepszą i niegorszą od naszej przeszły w tym czasie Niemcy, których miasta rozbudowały się przytem, może nawet nadmiernie w pewnych kierunkach. Inflację również przeżyła okrojona, uboga dziś i wątła Austria, a jednak w Wiedniu przed kilku tygodniami położono kamień węgielny pod dom, w którym w ciągu roku będzie gotowe **dwudziestopięciotysięczne mieszkanie** z serii wybudowanej staraniem miasta w ciągu trzech lat ostatnich! A rzeczywiście nie są to **mieszkania** w rozumieniu pewnych sfer Warszawy, dla których „mieszkanie“ oznacza jedną izbę, mieszczącą w sobie sypialnię, kuchnię, pokój dziecinny, a nieraz i pracownię. W łańcuchu analogii z najbliższymi nam narodami stawiam umyślnie na samym końcu Czechosłowację, jako znajdującą się w uprzywilejowanym położeniu gospodarczym. Wartoby jednak zbadać, ile do tej pomyślanej sytuacji przyczynił się umiejętnie kierowany przez państwo ruch budowlany, który, jak wiadomo, jest najlepszą dźwignią dla ogólnego ożywienia życia przemysłowego.

Nie, nie mamy wiele na usprawiedliwienie barbarzyńskiego poziomu naszej kultury mieszkaniowej. Źródłem tego stanu jest w znacznej mierze brak potrzeb pod tym względem. Przecież i w lepszych gospodarczo czasach mieszkaliśmy nad wyraz nędźnie. Proszę spojrzeć w Warszawie na dzielnicę od dworca, na pośmiewisko zwanego Głównym, w kierunku Mokotowa. Jest to względnie nowa dzielnica, „wzniesiona“ w okresie największej zamożności dzisiejszej stolicy, a składa się z ulic wąskich w stosunku do wysokości domów, które naśladują we wszystkim najgorszą berlińską tandetę. Zaś wewnętrzne urządzenia i zaludnienie mieszkań stało zawsze na poziomie o wiele niższym, niż w berlińskiej dzielnicy północnej, uważanej za robotniczo-handlową, najmniej ponętą. Dla publiczności warszawskiej te „nowe domy“ były ostatnim wyrazem wygód i komfortu, a komorne w nich dochodziło do wysokości, nieznanej w żadnym mieście Europy. Cóż dopiero mówić o naszych dzielnicach robotniczych! Co powiedzieć o chałupach i do-

mach wiejskich! Przecież nawet nasze dwory, te legendarne dwory polskie, poza walorami każdego mieszkania wiejskiego, opartymi na dostatku przestrzeni i niewyroczumowaniem, a potężnem ukojeniu, płynącym z poczucia „mojego, naszego“ domu, przedstawiają się ogromnie ubogo, jeżeli przyłożyć do nich miarę potrzeb kulturalnych. Ile z tych dworów posiada łazienkę, oświetlenie elektryczne, urządzenia kanalizacyjne? W dalszych zakątkach kraju istnieją przecież dwory, przy których niema najniezbędniejszych ubikacji, a mieszkańcy ich, zwani w pewnej gwarze obszarnikami, nie uważają za potrzebne zakłopotać się o tę nieprzyzwoitą drobnostkę.

Powtarzam — niema w społeczeństwie polskiem kulturalnych potrzeb mieszkaniowych. Niema ich w żadnej warstwie społecznej. I tutaj, jak w tylu innych sprawach, zemściła się na nas historia za niewytworzenie własnego stanu mieszczańskiego. Bo- wiem nowoczesna kultura mieszkań idzie z miasta, z zamożnej sfery mieszczańskiej i przechodzi od niej w dostatnie obywatelstwo wiejskie, a drogą naśladownictwa i mody przesiąka stopniowo do warstw mniej zasobnych, aż do izb proletariackich. Gdziekolwiek powstała wcześniej bogata klasa mieszczańska, widzimy na niej oparte stare, silne, wzrosłe w rdzeń narodu tradycje mieszkaniowe. Tak jest przedewszystkiem w Anglii i Holandji. Wszędzie, gdzie dociera Anglik, idzie wraz z nim „home“ jego, dom angielski, łączący w jednym wyrazie ojczyznę i mieszkanie. Jest to dom zawsze jednomieszkaniowy, dla jednej tylko rodziny przeznaczony, wyposażony w miarę możliwości posiadacza we wszystko, co przypomina starą Anglię, co sprawia złudzenie bodaj, że jej częśćka jest tutaj — w gorących Indiach, czy wśród surowej przyrody Kanady, czy nawet w cudzej zupełnie ziemi, na terenie zagłębia donieckiego, dokąd tylko zawędrował kapitał i inżynier angielski. W tych „home“ach“ przechowuje się angielskość i z nich idzie na obce otoczenie, dla którego komfort i piękno domostwa angielskiego muszą stanowić wzór godny naśladowania. Lepsza to droga anglicyzowania, niż wszystkie metody germanizacyjne i rusyfikatorskie. A najlepszy sposób zachowania i przekazywania z pokolenia w pokolenie tradycji, korzeniem wrosłej w stare lata i gałęziami strzelającej w niebo przyszłości.

Zaprawdę, dom mój winien być pomyślany, jako zamek, strzegący całość i rodziny wraz z jej dobytkiem materialnym i duchowym....

a. n.

OBÓZ W JEZIORACH.

Korespondencja „Bluszczu“.

Roztocz olbrzymia wód, szum puszczy — oto tło. A na tem tle migają dziwne ludki... ładni chłopcy, o dziewczęcych twarzach... nie—to dziewczęta w krótkich sportowych spodenkach i wojskowych bluzach, ...jakieś Niki nowożytnie, jakieś Djanny, które półkrąg miesiąca chwilowo raczyły złożyć z głów.

Pluszcze się to wciąż w wodach jeziora, pływa, wiosłuje, to znów suchym trzaskiem karabinowych strzałów maci ciszę leśną i płoszy ptactwo dzikie,

a wieczorami rozkłada w obozie krwawe ogniska i pieśni, tęskną czasem, czasem radosna rozmawia z duchami jezior i lasów.

Taki jest obraz, z bezpośredniego wrażenia odbity, a teraz przekładając to wszystko na suchy język dziennikarskiego sprawozdania, powiedzmy, że to jest obóz letni, założony z ramienia „Komitetu przysposobienia kobiet do obrony kraju“.

Cudowną, zaiste, miejscowość wybrał Komitet na obóz letni. Cały kompleks jezior: Rybnica, Kań, Białe i t. d., gra tu szumem fal u stóp odwiecznych puszczy, po których niosą się jeszcze echa tragicznych bojów ostatniego powstania. Niechże jednak nikt nie myśli, że to kraina wilgoci, mgieł, komarów i malarji. Nic podobnego! Brzegi jezior otaczają wyniosłe, piaszczyste wzgórza, wystawione ku słońcu. Greńt przepuszczalny nie zatrzymuje wody, a malarji nie zaobserwowali lekarze tutejsi. Powietrze, zwłaszcza dla nas, co przywykliśmy oddychać mieszaną dymów fabrycznych, śwędów benzynowych i wszelkich wzięwów wielkiego miasta, powietrze tutejsze ma jakąś, już nie fizyczną tylko, ale duchową czystość i moc. Olbrzymie drzewostany, państwowych lasów, oddalenie od siedzib ludzkich sprawiają, że to powietrze miękkie, wonne, jak słodycz jakaś nieziemska leje się w płuca. Z drugiej strony jeziora „Kań“, leży miasteczko, zwane niegramatycznie „Jezioro“. Jest tam duża cerkiew, maleńki drewniany kościółek katolicki, zabytek budownictwa drzewnego, pono z XV wieku — obecnie odnawiany; jest Zarząd państwowych obszarów leśnych, tartak i biuro trustu, eksportującego drzewo. Trust ten do niedawna franko-syryjski, obecnie jest pono holendersko-angielskim. „Biuro“ nosi wprawdzie napisy angielskie, ale w drewnianych oknach tego „biura“, ukazują się brodate twarze miejscowych starozakonnnych handlarzy drzewem. Miasteczko posiada jedyny sklep towarów łokciowych i to zamknięty, często nawet w dzień powszedni, parę sklepików spożywczych, aptekę, sporą ilość szynków, jedną szkołę powszechną, i to chyba — wszystko! A jest dęsyć rozległe, ludne i pono nie biedne. Źródłem zamożności mieszkańców, są, jak wieść niesie, lasy państwowe, eksploatowane przez nich prawem, nie pisanem wprawdzie, ale obyczajowem. Zły ten obyczaj należałoby przynajmniej ograniczyć. Przynosi on bowiem Państwu nieobliczalne wprost, straty. Jezioro mają stację kolejową. Podróż z Grodna kolejka trwa godzinę.

Obóz letni przysposobienia wojskowego kobiet do obrony kraju, zjechał do Jezior 1-go lipca b. r. w liczbie 186 uczestniczek. Sześć z nich zdyskwalifikował natychmiast lekarz wojskowy ze względu na stan ich zdrowia. Pozostałe 180 wytrzymały do końca. Żadna się nie zniechęciła, żadnej nie potrzeba było usunąć, co świadczy o starannym doborze materiału.

Uczestniczki obozu pochodzą z różnych stron Państwa: z Warszawy 85, z Łodzi 7, z Lublina 5, z Łomży 3, z Włocławka 5, z Sosnowca 3, z Zabkowic 3, z Chorzeli (pow. Mławski) 3, z Przemyśla 2, z różnych miejscowości Wołynia 6, z Chełmna na Pomorzu 6, z Krakowa 10, z Cegłowa pod Łodzią 4, z Częstochowy 2, z Konina 2, ze Szreńsk pod Mławą 2, z Wilna 5, z Radomia, Sochaczewa, Wyszki, Mińska Mazowieckiego, Katowic, Bielska i Białej na Podlasiu, Bochni, Tarnobrzega, Leszna (Wielkopolska), Garwolina, Sieradza i t. d. po jednej. Charakterystyczne jest, że niema ani jednej ze Lwowa, choć Komitet ma tam pono swoją ekspozyturę i ani jednej z Poznania.

Z powyższego zestawienia wyciągnąćby można wnioski, że stosunki Komitetu są rozległe, że jednak idea przysposobienia wojskowego kobiet, nie sięgnęła dotąd w głąb kobiecego społeczeństwa w Polsce.

Co do cenzusu, wymagane było, jako minimum 6 klas szkoły średniej. W drodze wyjątku przyjęto do 1-szej kompanii kilka pańienek z cenzusem 7 klas szkoły powszechnej. Wśród przybyłych do obozu, znaczny był procent nauczycielek, seminarzystek, stu-

dentek, maturzystek, ze świeżo uzyskaną maturą — zespół pod wielu względami, doborowy.

Cały ten materiał podzielono na 3 kompanie. Pierwsza i druga w liczbie 143 stanowiły stopień I-szy kursu, trzecia w liczbie 43 — stopień drugi, t. zw. instruktorski. Były to te, które przeszły już stopień I-szy w poprzednim obozie, słuchały wykładów podczas zimy i przybyły tu, by teoretyczne i praktyczne wiadomości swoje uzupełnić i pogłębić. Są to kandydatki na instruktorki przysposobienia wojskowego, niezbędne dla rozwoju dalszej pracy i których brak uniemożliwia dziś jeszcze Komitetowi działanie na szerszą skalę.

Kompanję II-gą i III-cią ułożono pod namiotami, w miejscowości, zwanej Kańczatka nad jeziorem Kań; Kompanja I-sza otrzymała na mieszkanie, stary, obszerny dwór w Zadubiu, po drugiej stronie jeziora Rybnicy. (Majątek ten niegdy własność Wąlickich, za udział w powstaniu skonfiskowany i podarowany ks. Wiaziemskiemu, wrócić ma pono teraz do prawowitych spadkobierców). Dwór duży, choć z powybijanymi szybami, nadal się doskonale nadaje do lokowania kompanji.

Komendę objęła nad nią p. Marja Podhorska, podporucznik Och. Legji Kobiet. Komendantką II-giej kompanji została por. Wanda Gertzówna, niegdyś komendantka bataljonu wileńskiego O. L. K. Dowództwo III kompanji, wraz z dowództwem całego obozu znajdowało się w ręku podpor. Marji Wittkówny.

Instruktorką wychowania fizycznego w Kańczatce była p. Lipowicz-Nowosielska, podporucznik O. L. K., — w Zadubiu p. Bykowska. Adiutanturę w obozie objęła p. Moczulska podpor. O. L. K.

Nadto D. O. K. Grodno przydzieliło do obozu następujących instruktorów: kapitan Skinder — terenoznawstwo, por. Dembowski — obrona przeciwgazowa, kapitan Błotnicki — ćwiczenia polowe i obozownictwo, kapitan Stawicki — nauka o broni. W charakterze lekarza obozu przydzielony został kapitan Krzywiec.

Apro wizację Obozu polecono 81 pułkowi piechoty w Grodnie. Apro wizacja zupełnie wystarczająca i dobra!

W powyższym składzie rozpoczęto i prowadzono pracę, na kursie I-szym do dnia 15 sierpnia, na kursie II-gim do dn. 28 sierpnia. W chwili, gdy to piszę kurs II-gi nie ukończył jeszcze swoich prac, można więc mówić tylko o rezultatach kursu I-go. Miał on za zadanie przyzwyczajanie uczestniczek do zorganizowanego życia zespołu i do form dyscypliny wojskowej, oraz jak najprawidłowsze wychowanie ich fizyczne i przysposobienie wojskowe, w zakresie podstawowych wiadomości o organizacji armji, służbie wewnętrznej, ratownictwie, łączności, terenoznawstwie, nauce o broni, obronie przeciwgazowej i obozownictwie. Ćwiczenia polowe polegały na grach polowych o najprostszym założeniu, celem wyrobienia w uczestniczkach szybkiej orientacji, wytrzymałości, umiejętności wykorzystania terenu w razie niebezpieczeństwa.

Kursu II-go zadaniem, poza powtórzeniem i pogłębieniem przedmiotów, objętych programem kursu I-go, było uzyskanie przez uczestniczki umiejętności instruowania i organizowania zespołów P. W.

W ramach powyższego programu prowadzono pracę na obu kursach... Kurs I-szy ukończyło 110 uczestniczek. Nie przystąpiło do egzaminu 33, a to z powodu czterotygodniowych urlopów, nie pozwalających im ukończyć kursu. Te 4-tygodniowe urlopy — to bóleczka obozów żeńskich przysposobienia woj-

skowego i dopóki jakieś rozporządzenie rządowe nie uprzywilejuje wyjeżdżających na kursy P. W., dopóty zawsze pewna część słuchaczek odpadać będzie od egzaminów.

Ze względu na ramy artykułu, niepodobna omawiać tu wyników, uzyskanych przez słuchaczki ze wszystkich przedmiotów. Dotknę tylko niektórych.

W zakresie przedmiotu, zwanego „obroną przeciwgazową“, uczestniczki wszystkie bez wyjątku, dzięki wykładom i ćwiczeniom z maskami, uzyskały zarówno zrozumienie niebezpieczeństwa, jak i umiejętność obrony indywidualnej. I tu nasuwa się bolesna myśl o milionach mieszkańców naszego kraju, którzy o rzeczach tych najmniejszego nie mając pojęcia, wystawieni być mogą na najsrozsze niebezpieczeństwa.

Ćwiczenia z bronią, zarówno małokalibrową, jak i długą należały, zdaje się, do ulubionych zajęć uczestniczek obozu.

Najlepsze strzelczynie z broni długiej to Malszewska, Świstakówna i Lisówna. Uzyskały one podczas zawodów 46 punktów na możliwych 50, na odległość 100 metrów. W celności strzału z broni małokalibrowej wyróżniły się Szwagrzakówna, Wielowiejska, Połomska, Warzeńska. Duży nacisk położony był na wychowanie fizyczne choć, zdaniem instruktorki tego przedmiotu, jeszcze niedostateczny. Lekka atletyka, piłka latająca, piłka koszykowa, piłka graniczna, a przede wszystkim, ulubiony przez uczennice sport wodny, zajmowały bardzo poważne miejsce w planie dnia. W sporcie wodnym wykształciły się uczestniczki obozu bodaj najlepiej. Wiosłowania i sterowania nauczyły się prawie wszystkie, pływania $\frac{2}{3}$. Były wśród nich doskonale już przedtem pływaczki, jak Selcerówna, Sitkówna, Rogalińska. Jedna z nich ma już nawet w kronice swoich przeżyć dwa wypadki uratowania życia tonącym. Inne jednak tu dopiero poznały prawa kunsztu i tu doszły do znacznego stopnia doskonałości. Kozakówna, Kraszewska i Iwanowska wzięły podczas zawodów pierwsze nagrody w grupie tych uczestniczek, które umiejętność pływania zdobyły w obozie. Selcerówna i Kraszewska, a pierwsza zwłaszcza, to istne syreny, czy świtezianki, którym przepłynięcie 1.400 metrów jeziora nie przyspiesza nawet bicia serca; woda wydaje się rodzimym ich żywiołem, a wzburzenie fal podczas burzy, deszczu i piorunów nie szarpie mocnymi ich nerwami. Wogóle, wszystko, co się tu widzi, są to rzeczy, w wychowaniu kobiet polskich naprawdę nowe, które, o ile staną się metodą powszechnie przyjętą, zmienią gruntownie fizyczny i duchowy typ Polki.

Dlatego należy przypatrywać im się z wielką uwagą.

To, co w ciągu parudniowego pobytu zauważyć mogłam, napełniło mnie najgłębszym zainteresowaniem. Wątpliwości nie ulega żadnej, wartość tego rodzaju wychowania dla fizycznego rozwoju kobiety. Opalone twarzyczki, z których tryska zdrowie, pełne życia oczy, różowe usta (bez szminki), gibkość członków, lekkość ruchów, u niektórych podczas gry piłkę np., wprost ulatywanie w górę, siła i wytrzymałość mięśni, to są wszystko rzeczy niezmiernej wartości, bez względu na to, czy kiedykolwiek dziewczęta te powołane będą do pomocniczej, czy jakiegokolwiek innej, służby wojskowej. Może kraj nasz nie prędko od synów swoich i córek zapotrzebuje żołnierskiego wysiłku i żołnierskiej ofiary, ale zdrowe i silne matki, wytrwałe pracownice będą mu w każdym razie i zawsze potrzebne. Co do strony duchowej, mam wrażenie, że wychowanie, ujęte w karby dobrowolnie przyjętego wojskowego rygoru, wyrabiające w wysokim stopniu umiejętność w spółzycia w zorganizowanym zespole, solidarność koleżeńską, odwagę, męstwo, wytrwałość, prostotę, radość życia, to są rzeczy powszechnemu zdrowiu narodowego ducha wybornie służące. A wszystkie te rzeczy tam widziałam, w połączeniu z wysokim stopniem kultury i u niektórych zwłaszcza jednostek, z dużą dozą ideowości i entuzjazmu.

Czy przyjęta przez Komitet metoda przysposobienia wojskowego kobiet odpowiada w istocie temu specjalnemu zadaniu? Kwestja tu wymagałaby bardzo kompetentnej oceny. Zauważyć jednak trzeba, że metoda ta nie różni się prawie od przyjętej dziś w stosunku do młodzieży męskiej. Władze wojskowe zdają się być bardzo żywo zainteresowane całym tym eksperymentem. Obecny na uroczystości zakończenia Kursu przedstawiciel D. O. K. Grodno gen. Załęski i towarzyszący mu oficerowie, wnikali w każdy szczegół życia i pracy Obozu, okazywali też żywą sympatię dla całej akcji, proponując urządzenie stałego obozu przysposobienia wojskowego kobiet w Jeziorach i obiecując ze swej strony wszelką w tym względzie pomoc i ułatwienia.

Oczywiście pole do dyskusji jest otwarte. Każdy z poruszonych tu punktów przedstawiać może pewne wątpliwości. Rzecz jest tak nowa, świeża, eksperyment tak śmiały, że dyskusję nad nim uważać należy nawet za wysoce pożądany objaw zainteresowania się nią naszego, pod każdym względem zbyt jeszcze apetycznego, społeczeństwa.

H. Ceysingerówna.

Jezioro w sierpniu.

NASZE PENSJONATY I DOMKI LETNIE PODMIEJSKIE.

Zredukowana urzędniczka, mająca jeszcze przedwojenne zapasy garnków, rondli, sprzętów i jakiejś takiej zastawy stołowej; podupadły kupiec, obywatel reemigrant, wdowa po lekarzu, adwokacie, dentyście, właścicielka willi z czasów dawnej zamożności — wszystko to już z wczesną wiosną poluje na letników. Każdy chce zarobić jak najwięcej, a jaknajmniej pieniędzy włożyć w „interes“. To znaczy, niech sobie letnik śpi na twardym łóżku drewnianem. Niech się obywatel bez szafy, bez światła wieczorem. Niech ma jeden stolik i dwa niewysłowienie twarde stołki na dwoje, małą wspólną miednicę, jeszcze mniejszy dzbanek i wiadro do wody. To wystarczy, aby obmyć ręce

i twarz. Na powietrzu wiatr i słońce czyszcza skórę. Zresztą, wszędzie prawie jest jakaś rzeczka, staw, łąka. Można się wykapać.

Inne wygody?... Dwa zera tuż przed domem, albo ćwierć kilometra od domu. A la guerre comme à la guerre. To już drobiazgi. Niemiły odór? Przecież nie w pokoju. Daleko chodzić w deszcz, w zawieruchę? Po to jesteśmy na wsi, żeby się hartować.

Łam sobie głowę, letniku, jak urządzić się najwygodniej. To już nie rzecz pensjonatu. Chcesz mieć więcej sprzętów? — Przywieź je z sobą. Mniej? — Pokutuj. Zredukowana urzędniczka, podupadły obywatel, zbiedzony reemigrant muszą wyjść na swoim.

Więc starzec, dziecko, wiecznie głodna pensjonarka, czy w chłop na schwał — mężczyzna dorosły, młodzieniec, który, naganiawszy się po łąkach, lasach zjadłby wilka, musi poprzestać na sakramentalnej parce z rana lub dwóch kajzerek z krążkiem piankowego masła. No, i przecież dwóch jajkach w dodatku.

Te jajka... udręczenie właścicielek pensjonatu. Jakaś zrozpaczona „Jaskółka“, czy „Danusia“, czy wreszcie „Zosinek“, świecący pustkami, wprowadził to dla przynęty niegdyś. A teraz — czy podobna wycofać bez buntu pensjonarzy?

Albo podwieczorek. Żeby też kto jadł cztery razy dziennie!... Właścicielka „Danusi“ woli nie pamiętać biernego oporu, któremu przewodniczyła za lat swoich szkolnych na wsi u ciotki, która ni stąd ni zowąd oznajmiła, że znosi poobiednią kawę z pajdami chleba. Co za impertynencja! Dzieci postanowiły zastrajkować. Przyłączyli się do nich studenci i milczkiem jedna stara rezydentka. Nie przyszli tego dnia na wieczerze. Głodówka miała trwać choćby trzy dni i dłużej. Nazajutrz ciotka odwołała dekret i odtąd nikt już nie ważył targnąć się na tradycję prababek. Ale to była przecież dziecińna. Zagranicą nikt nie jada podwieczorków.

Wieczorem jeden gość chce kwaśnego mleka z kartoflami, drugi — jarzyn, trzeci — jajecznicę. Pani z „Jaskółki“ oblicza, że jednak najtaniej mięso. Po kawaleczku. Trochę kartofli. Staruszkowi, który nie jada podwieczorku i jajek na pierwsze śniadanie i tylko po jednej bulce, można dać wazkę mleka. A gdyby dopominali się inni, odpowiadać: „zabrakło“.

Tak mędrkują pensjonaty nad sfinansowaniem żołądków gości. Te tańsze, po 7 i 8 zł. od osoby, jeżeli zajmują jedną klitczkę na dwoje. Życie obfite zaczyna się w „Danusiach“ i „Zosinkach“ od 12 zł. wzwyż. Pierwsze śniadanie angielskie. Prócz jajek, szynki. Obiady z czterech dań. Do podwieczorku czasami ciasto. Na wieczerze prócz mięsa stale kwaśne mleko z kartoflami.

Zdawałoby się, że pomieszczenie winno iść w parze z odżywianiem. Ależ, ludzie, przecież to lato! Cały dzień na powietrzu! Czy nie starczy dziesięć kroków długości, pięć szerokości na trzy osoby? Po co więcej? No, i jeden dzbanek do wody, jedna miska, jedno wiadro, trzy krzesła, stolik. Szafa może tak, może nie. Bo gdzieżby stała? Kanalizacja prymitywna ale jest. Dwa zera w przybudówce. Przejdzie pod dachem. Łóżka sprężynowe. W niewielkim ogródku wille pensjonatowe jedna przy drugiej. Sumienie trzeba mieć czyste i nieprzydeptane pantofle, bo patrzeć na ciebie zgóry, zlewa, zprawa, wprost. Ale cóż to znaczy wobec angielskich śniadań, pół francuskich obiadów, polskich kolacji z pysznym kwaśnym mlekiem i kartoflami?

Pensjonaty nasze są miarą naszej kultury. Kto poważałby się gościowi najtańszego hoteliku we Francji, Włoszech, Anglii zaproponować twarde łóżko ze słomianym siennikiem? Gdzie przy najprostszym urządzeniu — zabrakłoby szafy, lustra i choćby jednego miękkiego krzesła na dwoje? — Gdzie odważonoby się dać dwum osobom jedną miskę, jeden dzbanek? Gdzie kasanoby siedzieć w słotny, zimny wieczór przy kopającej lampce naftowej lub przy mizernej świeczce, którą np. letnik w naszych tańszych pensjonatach sam sobie kupować musi. Gdzie odmówionoby mu czyszczenia butów, albo zażądano conajmniej dostarczenia własnej pasty? — Gdzie zaprostestowanoby na ciepłą wodę do mycia? — Gdzie musiałby włożyć się z pościelą, której nawet za dopłatą dostać niepodobna? Gdzie spotkałby się z brakiem jakiegś większej sali lub hallu dla przyjmowania swoich gości, lub przeglądania pism

wieczorami, lub wreszcie rozmowy i zabawy towarzyskiej z innymi gośćmi pensjonatu? Gdzie byłby pozbawiony dzwonków dla wzywania służby?

Miarą kultury naszej są też przygodne domki letnie. Ma chłop chałupę brudną, pełną robactwa. Jedną połowę — dwie izby, każda z kuchnią, zajmują stale dwie rodziny, razem kilkanaście osób. Druga — bez najkonieczniejszych sprzętów — odstepuje się w połowie sezonu za bezcen, to znaczy — za 150 zł. z góry. Drobizg. Ktoby się targował? A od łóżek do stołów i stolików — wszystko trzeba zwieźć samym. Tępić robactwo też samym.

Jednak — ze wszystkich dworców warszawskich odchodziły pociągi pełne letników. Ci do pensjonatów, ci do chałup chłopskich.

Jeżeli, broń Boże, zapomnisz człowieku wziąć z sobą atrament, pióro, ołówek, a masz coś do napisania pilnego, możesz stracić trzy, cztery dni, tydzień cały na poszukiwanie tego cennego towaru. Wskażę ci sklep we wsi najbardziej uczęszczany. Usłyszysz „zabrakło“. Idziesz do drugiego, mniej znanego, powiedzą ci: „a właśnie mamy sprowadzić“. A ty czekaj ze swoim nagłym listem lub niecierpiącą zwłoki notatką.

Czy można sobie wyobrazić najlichsza wioszczyne francuską, włoską, niemiecką, gdzie nie dostałoby się atramentu na litry, piór, ołówek na tuziny, papieru na ryzy?

Ubolewamy nad szerzącym się bezrobociem. Jakież pole dla inteligentów bez pracy iść na wieś, zakładać sklepiki z porządnym, niezbędnym towarem!.. Przemycać przy sposobności książki, pisma codzienne, organizować pogadanki, odczyty, otwierać zimą kursy szycia, kroju, robót, przygotowywać na porę letnią przed napływem gości wypożyczalnie książek, pocztówki z widokami miejscowości (jest ich tyle i takich pięknych w każdym zakątku Polski). Wreszcie zaopatrzyć się w wyroby swojskiego przemysłu na dary dla krewnych, przyjaciół, znajomych letników. Możliwość zaprowadzić przytem sprzedaż napojów chłodzących, owoców, słodczy i skupiać na werandzie przed domem sklepu letnie towarzystwo, które szuka siebie w dni deszczu.

Zdarzają się tu i owdzie w bardzo gęsto zaludnionych letniskach takie perły sklepów. Naogół — trzeba się pocieszyć nędznymi kramikami, gdzie na jednej półce obok świec, mydła, śledzi, tkwią paczki z kawą i herbata. Obok baniek z naftą i butelek z olejem — tabliczki zjełczałej czekolady.

Utarło się zdanie, że podmiejskie okolice Warszawy są nudne, bez widoków.

Kto to głosi? — Ci, co przed wojną znali tylko zagranicę.

Jedno lato gdzieś nad Wisłą, Świdrem. Liwcem stwierdzi kłamstwo. Dosyć przewędrować wzdłuż, wszczesz lasy sędziwe, radosne, borówkami podszyte zagajniki, ciche polne i łąkowe miedze, malachitowe polany, wzgórze wrzosowe; dosyć wykopać się w słońcu na białych piaskach, żeby znaleźć w sobie to oczarowanie, które z góry wprawia w nas Baedeker, gdy jedziemy podziwiać cuda błękitnego Aaru, srebrne wodospady Lauterbachu, miraże Interlaken.

Inne widoki, ale to samo upicie się aż do szalu wibracją nieba i ziemi — wielką tajemnicą. Ten sam dreszcz rozkoszy. Ten sam lot w niewiadome.

Jeszcze poza nami są uroki kraju naszego. Jeszcze trzeba uczyć się patrzeć, podziwiać, wibrować. Niech nas będzie pełno w borach i na łąkach, nad ciemną wodą i na miękkich wrzosowiskach. Ale w ślad za nami — niech idzie kultura.

C. W.

G. K. CHESTERTON O DOMU I KOBIECIE.

2

Przekład Zbigniewa Grabowskiego.

II.

Kobietę trzymano wewnątrz domu nie dlatego, aby ją ograniczyć i zacieśnić; przeciwnie, trzymano ją w domu, aby mogła rozwinąć jaknajlepiej swą wszechstronność. Świat poza obrebem domu był jednym rojowiskiem ciasnoty i ograniczenia, plataniną wytkniętych, wązkich ścieżek, zakładem dla obłąkanych, po którym tłukli się ludzie, opętani specjalnością lub monomanią. Tylko przez takie cześciowe odsunięcie i zabezpieczenie, oraz ochronienie kobiety od gwaru świata, umożliwiono jej posiadanie pieciu lub sześciu zajęć równocześnie, by w ten sposób stała tak blisko Boga, jak dziecko, które zabawia się w rozmaite zawody i zajęcia. Lecz zajęcia kobiety, w przeciwieństwie do zabaw dziecka, były wszystkie istotnie i niemal straszliwie owocne i płodne. Były one tak tragicznie realne i żywe, że tylko giętkość, wszechstronność i równowaga kobiecego ducha zapobiegała, by nie stały się nieszczące i zjadające siły, jak choro-
roba...

Nie przeczę, że kobiety krzywdzono, a nawet maltretowano i męczono. Wątpię jednak, czy były one kiedykolwiek torturowane więcej, niż to się dzieje obecnie, na skutek niemądrych, nowoczesnych usiłowań uczynienia z kobiet domowych królowych, czy władczyń i zarazem wykwalifikowanych urzędniczek. Nie zaprzeczam, że, nawet w okresie panowania starych poglądów i tradycji, kobiety doświadczyły cięższych dopustów i przeżyć, niż mężczyźni: dlatego to zdejmujemy przed nimi kapelusz z głowy. Nie staram się negować, jakoby te wszystkie różnorodne czynności kobiece nie były przynębiające, a nieraz zniechęcające i beznadziejne. Lecz trwam w przekonaniu, że istniał jakiś cel, racja i sens w zachowywaniu tej kobiecej wszechstronności, zdolności wykonywania rozmaitych robót. Nie spróbuję zaprzeczać, że kobieta była sługą — ale ostatecznie była sługą do wszystkiego...

Być królową Elżbietą, w pewnej określonej dziedzinie, bo decydować o sprzedażach, przyjęciach, trudach dnia roboczego i uciechach świątecznych. — być na danem polu Whiteley'em, bo kupować zabawki, buty, bieliznę, płótno, ciastka i książki, — być w swoim zakresie Arystotelesem, ucząc praw moralnych, zachowania się i obojętności, teologii i higieny — tak, rozumiem, że to może wyczerpywać myśl, lecz nie pojmuję, jak to ją może zacieśniać. Jakimż to sposobem lepszą, szczytniejszą karierą ma być opowiadanie cudzym dzieciom o regule trzech, a marnem i nędznem zajęciem opowiadanie własnym dzieciom o wszechświecie? Jakże to może być czemś wielkiem stanowić rzecz, względnie obojętną dla wielu osób, a czemś ciasnem być wszystkim, dla kogoś jednego? Nie, zajęcie kobiety jest żmudne i pełne trudu, dlatego, że jest olbrzymie, a nie dlatego, że jest drobne i nikłe. Mogę współczuć pani Janowej z powodu ogromu jej pracy i zadań, ale nigdy nie będę się nad nią litował, dla małości tej pracy.

Oszczędność jest rzeczą naprawdę romantyczną — ekonomja jest bardziej romantyczna, niż rozrzutność. Bóg świadkiem, że mówię to jako niezainteresowany w tej materji: nie mogę sobie bowiem przypomnieć, bym od chwili urodzenia zaoszczędził choć pół pensa. Lecz niemniej pozostaje prawdą, że

oszczędność, właściwie pojęta, jest rzeczą wysoce poetyczną. Oszczędność jest poetycka, ponieważ jest twórcza — rozrzutność zaś, pozbawiona poezji, ponieważ jest trwonieniem. Wyrzucanie pieniędzy, to zajęcie nader prozaiczne, jako że wyrzucanie i marnowanie czegokolwiek jest prozaiczne. Jest to czynność negatywna, wyznanie obojętności, a więc zniechęcenia i bezsiły. Oszczędność nie jest licha, pachnącą prowincją zaletą: stanowi ona część składową tej wielkiej idei kobiety, która śledzi na wszystkie strony ze wszystkich okien duszy i jest odpowiedzialna za wszystko. Bowiem w przeciętnym ludzkim domu znajduje się tylko jeden otwór, przez który pieniądze wpływa, a sto, przez które ucieka. Mężczyzna troszczy się o ten jeden otwór, kobieta dba o owych sto.

Podobnie, jak z kobietą oszczędnością, walczącą z rozrzutnością, co siedzi w męskiej naturze, ma się sprawa z kobiecym poczuciem godności, w stosunku do męskiej szorstkości i brutalności. Kobieta ma w sobie silnie osadzone przekonanie, że jeżeli ona nie położy akcentu i nie będzie wymagać dobrych manier i zachowania, to nikt się o to nie postara ni zatroszczy. Dzieci nie zawsze są mocne na punkcie godnego oraz przyzwoitego zachowania się, a dorośli mężczyźni przedstawiają się często pod tym względem zgola niemożliwie. Kobiece ideały godności, tak jak kobiece ideały oszczędności, spoczywa głębiej i może być łatwiej rozumiany. Opiera się on w gruncie na silnem poczuciu duchowego osamotnienia i izolacji: to właśnie poczucie, zwraca kobiety ku religji. Kobiety nie lubią mieszaniny ich z czemkolwiek — nie lubią i unikają tłumu. Ten ogólnikowy, nieosobowy ton, jakiego używamy w odniesieniu do ludzi w rozmowach klubowych, byłby prostą niegrzecznością lub imperytyncją w stosunku do kobiet. Pamiętam, jak pewna poważna dama, o artystycznych zamiłowaniach spytała mnie, przyjmując w swoim wspaniałym salonie, czy wierzę w przyjaźń i koleżeństwo między obiema płciami. Przypominam sobie, że aż cofnąłem się w tył pod wpływem jej surowego spojrzenia, gdy dał szczerą i jasną odpowiedź: „nie wierze zupełnie, ponieważ, gdybym ośmielił się traktować panią przez przeciąg dwóch minut, jako swego kolegę, wyrzuciłaby mnie pani za drzwi“.

Jedyną zasadą w tej materji, jest mieć do czynienia z kobietą, a nigdy z kobietami. „Kobiety“ — to zaiste obrzydliwe i śliskie słowo; używałem go wprawdzie kilkakrotnie w ciągu niniejszego rozdziału, lecz ma on w sobie jakiś rozpustny, rozwiązły dźwięk. Pachnie wschodnim cynizmem i leniwym hedonizmem. Każda kobieta, to uwięziona królewna — lecz każdy tłum kobiet, to tylko harem, wypuszczony na swobodę. Nie wyrażam tu moich osobistych poglądów: są to poglądy wspólne wszystkim kobietom, jakie znam. Jest rzeczą nieładną twierdzić, że kobieta nie-nawidzi i nie znosi każdej poszczegółnej kobiety. Lecz sądzę, iż nie miniemy się z prawdą, mówiąc, że pogardza niemi, w beładnej masie, gromadzie. A to nie dlatego, by żywiła pogardę dla własnej płci, lecz dlatego właśnie, że ma dla niej szacunek i cześć. Szanuje i ceni przede wszystkim ową świętość i odosobnienie każdej kobiecej indywidualności, co w obyczajach wyraża się ideą godności, a w etyce — ideą czystości.



Nasi powieściopisarze psychologiczni, ustawicznie przedstawiają żony, jako furje, napędzające strachu mężom, tarzaniem się po podłogach, w konwulsyjnych podrygach, zgrzytaniem zębów, roztracaniem i łamaniem mebli oraz zatrutowaniem kawy. Dla wszystkich tych okropności, szukają uzasadnienia w dziwacznej teorii, że kobiety — jak twierdzą ci specjaliści psychologiczni — „są igraszką wzruszeń i popędów”. Lecz szczerze mówiąc, stare, odwieczne poglądy, w tej mierze są bardziej bliskie życiowej prawdy. Większość mężczyzn, jeśli wypowie się otwarcie, zgodzi się chyba, że najstraszniejszą właściwością w kobiecie jest nie owa wzruszeniowość i uczuciowość, ale zimna oschłość i niezdolność do ulegania wzruszeniom.

Możliwe, że ten przeraźliwy pancerz z lodu jest celową, przez naturę daną ochroną bardziej delikatnego organizmu; lecz jakiegokolwiek będą psychologiczne wytłumaczenia tego objawu, sam fakt pozostaje twardy i niezbity. Instynktownym krzykiem kobiety uniesionej gniewem jest: „noli me tangere!” — „nie waż się mnie dotknąć!” Wybieram to, jako najbardziej oczywisty i zarazem najbardziej oklepany przykład tej podstawowej cechy, czy właściwości, znanej z kobiecej tradycji, którą w naszych czasach wprost nieprawdopodobnie fałszywie starają się rozumieć zarówno moralisci w swych kazaniach, jak i immoralisci w swych pustych gadaniach. Właściwą nazwą na tę właściwość jest skromność, — ale, że żyjemy w wieku przesądów i nie możemy nazywać rzeczy po imieniu, zgodzimy się na bardziej nowoczesną nomenklaturę i ochrzczimy to mianem godności. Jakkolwiek jednak tę rzecz nazwiemy, jest to właśnie to, co tyśiące poetów i miliony kochanków określiło jako „oziębłość Chloë”...

Ponieważ w dziele niniejszem operujemy głównie typami i symbolami, nienajgorsze, widome ucieleśnienie tej idei godności, można znaleźć w fakcie, że kobieta nosi suknię. Jest to wysoce charakterystyczne dla tego nieudolnego małpowania, które uchodzi wszędzie za emancypację, że niedawno temu popularnym hasłem, wśród kobiet „postępowych”, było domaganie się prawa noszenia spodni; prawo równe w sobie groteskowo śmieszne, jak prawo noszenia przyprawianego nosa. Doprawdy nie wiem, czy sprawa wolności kobiecej, posunie się o krok przez akt

wkładania czegoś w guście spódnicy na każdą nogę. Być może, że Turczynki są w stanie poinformować nas w tym względzie...

Jest rzeczą pewną, że suknia oznacza godność kobiety, a nie jej niższość czy upośledzenie: da się to udowodnić na podstawie najprostszego przykładu. Żaden władca nie ubierze się umyślnie w szatę, które przynależą niewolnikowi i słudze — żaden sędzia nie pojawi się w uniformie z wyszcyciami lub emblematami. Gdy mężczyźni pragną wyglądać uroczyście i poważnie, jak sędziowie, kapłani lub królowie, wdzwiewają na się suknie — długie, powłóczyście szaty kobiecej godności. Cały świat jest pod rządami sukni: bo nawet mężczyźni przyoblekają się w suknię, gdy chcą władać.

Olbrzymia podstawowa kwestja, około której obraca się cała antropologja: sprawa płci i rodzenia nigdy nie mieściła się w granicach polityki państwa, lecz zawsze istniała poza jej obreębem. Państwo zajmowało się brutalną i pospolitą funkcją zabijania ludzi, lecz chytrze pozostawiało innym cały interes rodzenia ich. Jakiś eugenista mógłby tu dowcipnie zażartować, że państwo to instytucja, pozbawiona rozumu i logiki, która troszczy się o starość osób, co nigdy nie zaznały dzieciństwa. Nie mam jednak ochoty rozwodzić się w żadnym razie nad faktem, że niektórzy eugeniści naszych czasów, czynili manjackie propozycje i usiłowania, by policja i organy państwowe czuwały nad małżeństwem i urodzinami, tak jak rozciągają kontrolę nad pracą i śmiercią.

Nic nie jest w stanie zmienić i przemóc tej jednej olbrzymiej przewagi i wyższości kobiecej, że nawet dziecko płci męskiej rodzi się bliższe matce, niż ojcu. Nikt, zważywszy ten straszny kobiecy przywilej, nie będzie mógł wierzyć w równouprawnienie płci... Ciało kobiece i duch kobiecości ogarnia i otacza dziecko od początku, jak cztery ściany domu. Naibardziej miękkie i łagodne mężczyzna dzieli z najbrutalniejszym wspólny los — obaj ulegli zniewieszczeniu przez sam fakt urodzenia się. Człowiek, zrodzony z kobiety, ma dni krótkie, syte nędzy i biedy: lecz nikt nie jest zdolny wyobrazić sobie obrzydliwości i bestjańskiej tragedji, która stałaby się udziałem takiego potwora, jak mężczyzna, zrodzony z mężczyzny.

(c. d. n.)



PAUL BOURGET — POETA OBOWIĄZKU.

W szeregu osób ze świata literackiego, których stratę naród francuski w roku bieżącym oplakuje — są to straty bardzo poważne, skoro przestały bić nazwiska Barrêsa, France'a, Loti'ego — z pewnych względów Paul Bourget słusznie rościć może prawo do tego, by nie na ostatnim stawiano go miejsca.

Niedawno zmarły, ten świetny znawca psychologii ludzkiej urodził się i wychował w atmosferze, która nie mogła nie pozostawić śladów bardzo głębokich na jego umysłowości. W okresie tym silniej, niż gdzieindziej ścierały się we Francji poglądy polityczne;

bardziej uwydatniały się różnice zapatrywań na stosunek do takich zagadnień, jak ojczyzna, kościół, szkoła; wyraźniej, niż gdzieindziej i szybciej dokonywało się „przegrupowanie” w społeczeństwie, które we Francji, zwłaszcza po r. 1870, bardzo śpiesznie się modernizowało. Rewolucja po klęsce wojennej zburzyła wiele wierzeń, naród francuski stanął w obliczu wielkiej katastrofy, a z wytworzonego chaosu wyłoniła się trzecia republika ze wszystkimi jaskrawościami reakcji na nieudolne i pozbawione wszelkiej glorioi cesarstwo Napoleona III.

Bourget patrzył na wypadki oczyma niezmiernie bystrego spostrzegacza, badał przeobrażenia, dokonujące się w duszach i sercach, i zdobywany w ten sposób niezmiernie cenny materiał bardzo sumiennie przetrawiał i grupował. Po laury pisarskie nie wyciągał rąk z pośpiechem, owszem, pierwsze jego utwory powstają dopiero w latach osiemdziesiątych, a więc wtedy, gdy Francja republikańska już się zdażyła skryształizować, i gdy po tamtej stronie Renu rosła coraz to większa i straszliwsza potęga zjednoczonych Niemiec. W tych warunkach działalność pisarza, który nie chciał ani na chwilę przestawać być obywatelem kraju, jaknajszerzej swe obowiązki traktującym, wcale nie była łatwa; nie była łatwa tymbardziej, iż Bourget nie myślał bynajmniej iść z prądem, jak to czynili bardzo zresztą wybitni twórcy (wystarczy tu przypomnieć nazwisko Zoli, niewiele tylko od Bourgeta starszego), lecz przeciwnie, całem swoim życiem walczył o świat inny, który uważał za lepszy, duchowi francuskiemu bardziej odpowiadający.

W swej bardzo obfitej twórczości literackiej, zawierającej powieści, utwory dramatyczne, poezję, szkice krytyczne, wrażenia z Podróży, Bourget zajmuje się tą sferą społeczeństwa, które nie bez słuszności nazwać można śmietanką towarzyską. Nie hotując zasadzie „Sztuka dla sztuki“, — owszem, wplatając w każdą swą powieść mniej lub więcej ukrytą tendencję społeczną; dotykając wszelkich przejawów życia opisywanego środowiska od kolebki niemal aż do grobu; badając, jak to kształtowała się dusza danego człowieka, jakie momenty z wychowania, wykształcenia, czy wpływów otoczenia składają się na jego charakter, — Bourget dawał nieraz rzeczy o takiej głębi psychologicznej, że w jego rękach powieść stawała się bezcennym dokumentem do historii obyczajów społeczeństwa francuskiego, szczególnie, gdy chodzi o powieści, pisane w stuleciu ubiegłym. Tak np. „Le disciple“, napisany w r. 1889, zawiera, na stu kilkudziesięciu stronicach, jedną z najbardziej zadziwiających analiz wychowania, poruszającą wszystkie okoliczności i wpływy, jakie działają na „ucznia“ od wczesnego dzieciństwa aż po wiek męski.

W przeciwnieństwie do Zoli, który cały swój geniusz i erudycję oddał w służbę nowoczesnym dążeniom społecznym i politycznym i stał się dzięki temu jednym z najgorliwszych apostołów nowego społeczeństwa francuskiego, którego wiele cech Zoli właśnie w dużym stopniu zawdzięczać należy — szczególnie, gdy mowa o stosunku do kościoła, — Bourget dąży do zreformowania tego społeczeństwa na innych zgoła podstawach; jest on apostołem Francji konserwatywnej w wielkim świecie i pragnie przebudowy swego narodu pod hasłem monarchji, wiary, poszanowania władzy i hierarchji. Jeśli okres powstawania trzeciej republiki nastroczał pisarzowi tej miary i tych poglądów wiele sposobności do czynienia uwag, tymbardziej obfitował w nie okres wojny światowej, i te wszystkie przeobrażenia, jakich ona dokonała, znajdują u Bourgeta wyraz bardzo silny.

Z utworów scenicznych Bourgeta — ta strona jego twórczości nie jest ogólnie znana — cieszył się największym powodzeniem „L'Emigré“, a do powodzenia tego wydatnie przyczynił się i ten fakt, że główną rolę grał w nim nieoceniony L. Guitry. Wogóle zaś powieści nawet Bourgeta są albo sceniczne, albo stosunkowo łatwo dają się na scenę przekładać, różni go to bardzo od innych powieściopisarzy, a charakter ten jego utworów zawdzięczać należy temu, iż akcja w powieściach Bourgeta zebrana jest najczęściej w bardzo małych okresach czasu, zawierają one natomiast niezrównaną głębię psychologiczną.

Odbywszy liczne podróże, które znakomicie przyczyniły się do wzbogacenia się spostrzeżeń i wiedzy ścisłej, znając dobrze obie półkule, specjalnie zaś zainteresowawszy się ziemią i kulturą, włoską, Bourget stworzył bardzo cenne szkice psychologiczne, studia literackie, oraz wrażenia z podróży. Wśród tych ostatnich, książka „Sensations d'Italie“ stanowi nietylko jeden z najbardziej wartościowych studjów o Włoszech (powstała ona w r. 1891), lecz jednocześnie jest dowodem ogromnej wnikliwości autora, który niema równego sobie w literaturze francuskiej, jeśli chodzi o zdolności trafiania w najbardziej subtelne i intymne momenty włoskiego krajobrazu, czy dzieł sztuki.

Ale prawdziwe berło trzymał Bourget w powieści; była ona tak dalece odpowiednim dlań sposobem wypowiedzenia się i zdobycia kontaktu z czytelnikiem, że zaraz pierwszemi swemi utworami powieściowemi zdobył sobie publiczność całkowitą. Może to uznanie wynikało nietylko bezpośrednio z talentu Bourgeta, lecz także i z jego upodobań, z tego, że postarał się, by świat ówczesny, wtłoczony w ramy naturalizmu, skierować na inne tory, inne podsunąć mu myśli i zainteresowania, budzić w nim sumienie i wykazywać, że sumienie to właśnie jest nietylko odpowiedzialne za wszystkie nasze czyny, lecz, że stanowi ono czynów tych odbicie. Nie negując bynajmniej potęgę dziedziczności i wszystkiego, co nam narzuca fizyczna strona życia, pragnął Bourget, wzorem wielkich autorów siedemnastego stulecia, uznawać istotę walk i konfliktów, na jakie człowiek narażony jest z powodu panujących nad nim namietności i pożądań, pamiętać o tym, jakie trudności ma dusza ludzka, gdy kształtuje się na gruncie niezliczonych słabostek, — ale jednocześnie chciał on przywoływać sumienie i wyznaczał mu miejsce naczelne w duchowym życiu człowieka.

Zainteresowanie Bourgeta, rodzaje środowisk, które obiera za tło, tendencje, jakie w danej chwili przeprowadza — są bardzo różnorodne, tak, jak bardzo wszechstronny jest umysł jego, nigdy niezasklepiający się w jakichś komórkach, czy poszczególnych zagadnieniach, lecz trzymający stale rękę na pulsie życia całego organizmu społeczeństwa. A wogóle Bourget bada, studjuje, patrzy uważnie i rozumnie na wszelkie zjawiska życia, to też każda następna jego powieść jest w pewnym sensie głębsza i stanowi bardziej pełną całość od poprzedniej. Od studjów i wniosków, dotyczących życia jednostki, przechodzi Bourget do zagadnienia życia całego narodu i chce widzieć rozwój tego narodu wyłącznie na drodze ewolucji. Typowym wyrazem tych właśnie poglądów może być powieść „L'Étape“.

Jest to już owoc wieku dojrzałego (powstała w r. 1902), stanowi więc rodzaj credo społecznego autora. Wierzy on w konieczność przesunięcia w społeczeństwie z dołu ku górze, wie, że dopływ ciągle świeżych, nowych sił do warstw, które już całkowicie kultura opanowała, jest kardynalnym warunkiem rozwoju i życia, ale pragnie, by dopływ ten regulowany był bardzo przezornie, by przeskakowanie szczebli drabiny społecznej odbywało się miarowo, by każda jednostka, czy gromada, długo trwała na stanowisku pośrednim, bo to jedynie daje gwarancję, że potrafi ona dokładnie przyswoić sobie wszystkie zalety swego nowego środowiska.

Jeżeli zaś ten proces przyswojenia odbywa się zbyt pośpiesznie, jeśli posuwanie się w górę następuje szybciej, niż należy, tworzy się bardzo poważna luka, która nie tylko ujemnie się odbija na jednostkach,

lecz silnie tamuje rozwój i postęp całego narodu, na którym srodze się mści naruszenie równowagi. Jak dalece słuszne to były poglądy, choć autor sformułował je dwadzieścia kilka lat temu, dowiodły, aż nadto wyraźnie i dotkliwie stosunki po wojnie światowej, która pchnęła na wysoki stosunkowo szczebel społecznej drabiny rzesze milionowe, zupełnie do tego stanowiska nieprzygotowane. Kto wie, czy w bilansie wojennym ta właśnie strata nie dała się najdotkliwiej we znaki, szczególnie, jeśli na dzieje narodu patrzeć z odległej perspektywy; kto wie, czy europejskie powojenne społeczeństwa nie odczuwają boleśniej tego właśnie naruszenia równowagi, niż jakichkolwiek innych skutków wielkiej wojny.

Dla Bourgeta słowo naród nie jest czczym terminem, nie jest frazesem, owszem, zawiera ono przebogata treść; nie wierzy on w możliwość ludzkiego układu stosunków, przy którym można byłoby nie pamiętać o potrzebach narodów poszczególnych, nie wierzy w to, co zawodowa propaganda międzynarodowa ujmuje w hasła „braterstwa ludów”. Bourget utrzymuje („Cosmopolis” 1893 r.), że to wszystko, co spotykamy w środowiskach wielkomiejskich, żadne rozrywki, przyjemności, użycia, że wszystko to, co tak błyszczy i szyku dodaje, zachowuje wprawdzie międzynarodowy charakter, lecz dopóty jedynie, dopóki chodzi wyłącznie o zabawę, dopóki nie mówi się nic o interesach. Lecz skoro tylko interesy poszczególne wejdą w grę, już się o owym charakterze międzynarodowym całkowicie zapomina i bez względu na to, czy mowa o Paryżu, Londynie, Rzymie, czy Kairze, ordynarna walka o byt, o prawo używania — choć to przecie „Cosmopolis” — występuje w całej pełni i z całą bezwzględnością; a wtedy w tej pozornie jednolitej masie, której jednostajność uwypuklają jeszcze fraki czy suknie balowe, występują jaknajśilniej na jaw wszystkie różnice, wszystkie niechęci na tle osobistym czy narodowym.

A więc życie jednostek ma się układać w ramach narodu; on jedynie jest w stanie zapewnić jej konieczne warunki rozwoju, on tylko może jej stworzyć to podłoże materialne i duchowe, przy których rozwój ten dokonywać się może w możliwie najkorzystniejszych okolicznościach, — a więc nie hasła Zoli, lecz zdrowe i jędrne wskazania, które posłużą później za wyłączny grunt dla francuskiego ruchu nacjonalistycznego. Na jakich zaś podstawach opierać się musi rozwój narodu?

W tym względzie Bourget stoi bardzo wyraźnie na stanowisku zachowania dwu zasadniczych podstaw społecznej cywilizacji i kultury francuskiej, mianowicie: katolicyzmu i panowania władzy, uważając obie za jedyną ostoję, jednostek czy społeczeństw, ciągle narażonych na żądze poważne niebezpieczeństwa. Czyli więc utrwalenie nauki katolickiej w odniesieniu do stosunków między poszczególnymi ludźmi, lub ich stosunku do Boga, panowanie dla władzy, jako wcielenia pewnego ustalonego porządku rzeczy, stopniowa powolna ewolucja różnych warstw narodu ku wyższej stopie życia materialnego i umysłowego, — wszystko to na gruncie narodowym oparte — oto są ogólne ideały Bourgeta, jako powieściopisarza. Pra-

gnie on wierzyć, że społeczeństwo francuskie w masie swej po tej właśnie drodze kroczyć będzie.

Wojna światowa, której wybuch Niemcy potraktowały niemal, jako finis Babiloniae (tak bawiem nazywano w Niemczech Francję nowoczesną), całkowicie przyznawała słusność tym, którzy wobec społeczeństwa francuskiego stali z wiarą Bourgeta. Ale wojna ta, chociaż ujawniła nieprawdopodobnie wielkie skarby duchowe Francji, miała i swoje złe strony, bo wykoleiła mnóstwo ludzi, których tak całkowicie zaabsorbowała walka tyloletnia w okopach, że, gdy wrócili z frontu, pracy normalnej nie umieli się jać. Wprawdzie w okopach tych czuli się doskonale, walczyli jak lwy, zdobywali najwyższe odznaczenia wojskowe, lecz to życie obozowe było tak dalece odrębne od poprzedniego, iż w żaden sposób nie mogli wrócić doń na nowo. Temu problematowi poświęcił Bourget ostatnią swą powieść „Le danseur mondain”, która wyszła dopiero w tym roku; jest to swego rodzaju poemat na cześć honoru i obowiązku. Gani tu autor obecne pokolenie francuskie za to, że jest w niem ogromnie wiele jednostek, które coprawda poszczególne swe funkcje spełniają znakomicie, lecz brak im tej więzi, która z luźnych jednostek czyni karną i sprawną gromadę ludzką — społeczeństwo. Wiele z nich okryło imię francuskie nieśmiertelną sławą, ale czteroletnie zmaganie się ojczyzny z wrogiem — to był tylko „un accident héroïque” dla wielu. Stosunek tego rodzaju Bourget uważa za niedostateczny i pragnie, by w pokoleniu tym w pracy codziennej, szarej obudziło się to, co nazywa „le sens du service”. Bo służyć trzeba i można bez względu nawet na wiek.

Oto w głównych rysach przewodnia nić poglądów Bourgeta, snutych na bardzo interesującej nieraz kanwie miłosnych intryg, życia w wielkim świecie, ciekawych podróży i t. p. Literatura francuska zyskała tedy w Bourgetcie jednego z czołowych pisarzy, a poznać się na nim umieli ci wszyscy, z którymi los go zetknął: rozchwytywali jego powieści czytelnicy w kraju i zagranicą, akademja francuska mianowała go swym członkiem, a świat literacki francuski otaczał go należną czcią i szacunkiem. Lecz, gdy przed kilku laty jeden z jego przyjaciół zwrócił się z tym, że przecie należało by urządzić uroczysty obchód pięćdziesięciolecia działalności literackiej Bourgeta, odpowiedział, że tego rodzaju obchodów bardzo się boi, że tak mu już mało zostało czasu do pracy, a tak wiele jeszcze jest do zrobienia, i byłby zdania, że najlepszą formą obchodu jubileuszowego byłoby stworzenie mu warunków takiej atmosfery, w której mógłby z podwójnym nateżeniem pracować.

Tak odpowiedział na propozycję obchodu człowiek naprawdę znakomity, którego liczne książki czytają, już dwa pokolenia i wiele następnych jeszcze czytać będzie. Tak skromny, gdy mowa o jego zasługach, był człowiek, którego hasłem naczelnym było owo poczucie służby. W plejadzie autorów francuskich doby nowoczesnej słusznie wobec tego zajmował Bourget stanowisko wyjątkowe, bo gdy książki wielu jego współczesnych pokryje pył zapomnienia, bourgetowskie hasła żyć będą dopóty, póki żyć będzie naród francuski, a więc przetrwają, wszystko, bo nie jest w stanie ich obalić, trwalsze są od spłzu.

Z. R.



Felicja Kruszevska

GROSZKI.

Było błękitno nad Wersalem,
dzień cały stał jak w złotej chmurze.
Słońce gładziło promieniami
różowe groszki, blade róże.

Pod murem rosły winorośle,
dojrzały wtedy już morele,
pamiętam o tem bardzo dobrze,
choć minęło dni tak wiele.

W ten dzień był u nas cudzoziemiec,
o jedenastej przybył zrana,
szytał o swego przyjaciela,
bladego i chorego pana.

W ogródku s'edli sobie w kącie
na mojej starej, szarej ławce;
widziałam — pilnie się przyglądał
każdej roślince, każdej trawce.

Wiatr od ogrodu do pokoju
przynosił czasem jego słowa,
była jak gdyby dźwięk anielski
jego nieznana, obca mowa.

A czasem milkli nagle obaj
i była taka wielka cisza,
słyszałam, jak szeleszczą groszki
i białe róże w słońcu dyszą.

A potem, kiedy jedli obiad,
ja podawałam im talerze.
Gdy pan się na mnie często gniewał,
on się litował widać szczerze.

I nie wiem, czy to Bóg go przysłał,
by mnie ucieszył i zatrwożył —
i nie wiem nawet, czy on człowiek,
czy biały, święty anioł Boży....

Takie miał białe, dumne czoło
a uśmiech smutny i uroczy,
płonęły ogniem, takim ogniem
jego ogromne, czarne oczy.

Był do nikogo niepodobny
i taki inny i daleki...
Gdy tylko czasem spojrzał na mnie,
spuszczałam zaraz wdół powieki.

Pan był zgryźliwy, zagniewany,
nie podnosiłam wcale głowy,
a on uśmiechnął się i cicho
o groszek prosił mnie różowy.

Małam na piersi kwiat przypięty —
tak dzwonne prosił mnie: dziewczynko...
Serce mi biło mocno, mocno
pod białą, sztywną pelerynką.

Pobiegłam prędko do ogródka,
narwałam ciemnych groszków wiele,
było mi smutno i wesoło,
jak w dzień komunji, lub w niedzielę.

Myślałam: jednak moje kwiaty
odrzuci potem w poniedziałek.
Pośrodku groszek mój różowy
świecił, jak moje własne serce.

A kiedy od nas już odchodził,
patrzyłam za nim długo, długo.
Twarz jego znikła mi w oddali
uśmiechu śliczną, jasną smugą.

(Dnia 23 lipca 1832 r. Słowacki odwiedził w Wersalu chorego na suchoty Zienkowicza.)



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ.

KIEDY JUŻ BĘDZIESZ DUŻY...

3

Gerstman przeniósł wzrok z fotografii na Krceka. Twarz konsula tajała z niewysłowionej radości, a rysy, jakby przeobrażone, uszlachetniły się w czystym wyrazie takiej dumy i godności, że Gerstman skłonił się w duszy przed objawiającym mu się majestatem ojcostwa. Po chwili dopiero głosem nabrzmiałym od szczęścia, i jakby bojąc się, żeby mu tych słów nie wydarto, Krcek wyszeptał w próżnię pokoju śmieszne i zachwycone, dumne i wstydlive wyznanie:

— To mój syn... Jurasek!

Ciepły uśmiech dobroci wyzwolił z dotychczasowej surowości twarz Gerstmana.

— Śliczne chłopię!

Krcek podziękował mu za to czułem, kobiecym spojrzaniem.

Nagle schwycił słuchawkę telefoniczną.

— Oh, mon Dieu!

Oczekując na odezwanie się stacji, tłumaczył Gerstmanowi:

— Mają za miastem... dziesięć minut drogi autem... wille...

Wymienił w odpowiedzi telefonistce jakiś numer.

... tu, w konsulacie — dwa auta do dyspozycji...

Gerstman musi dziś jeszcze zobaczyć jego chłopaka...

Gerstman struchlał, chciał coś mówić, ale Krcek nie dał mu dojść do słowa.

Był olśniony swym pomysłem, oczy śmiały mu się, jak dziecku, zgubił w roztargnieniu ze szczęścia wykalczkę i napróżno szukał jej, wędrując tłustymi palcami po kieszonkach kamizelki.

Rozmawiał z żoną: — Przyjechał pan Paweł... niespodziewanie... wrócił... chce zobaczyć Jureczka... mon Dieu!. Wysyłam go autem... tak... natychmiast... gwałtem i przemocą... Głos mu ściemniał i zniżył się aż do poszeptu przy dalszych słowach:

— Elżbieto, dzisiaj nie wrócę do domu... ważna konferencja... przeciągnie się... będę dopiero jutro na obiedzie... Bądź zdrowa, chérie...

Odłożył słuchawkę.

Gerstman był zażenowany i spłoszony, próbował się bronić przed Krcekiem przeciw sobie samemu, przeciw swemu oszalałemu ze szczęścia sercu, które dyktowało mu swą niezłomną wolę: jeszcze dziś zobaczyć panią Elę! O, radości niewypowiedziane! O, rozpacz bez granic!

— Właściwie, nie rozporządzam swym czasem, nie byłem przygotowany! — tłumaczył Krceкови, który nie chciał o niczem słyszeć.

— Musi pan zobaczyć Jureczka... Moja żona już na pana czeka! Nie widzieliśmy się tyle lat! Mon Dieu, jak ten czas leci! Żałuję tylko, że sam nie mogę... Ważna konferencja...

Gerstman wyczuł kłamstwo, odpadające, jak paździerz, od tych słów „Ważna konferencja“ i związał je w myśli z obrazem wygiętej w tył na kolanach konsula chłopczycy. Krcek stracił odrazu w jego oczach chwilowy urok ojcostwa i stał się znów lichym, jak wprzód.

Zostało postanowione: Gerstman pojedzie zaraz do nich. Krcek wydał dyspozycję szoferowi i wypychał delikatnie przed sobą z gabinetu broniącego się słabo Gerstmana. Odprowadził go na dziedziniec, pomagał przy wsiadaniu do auta, okrywał pieczołowicie pledem. Gerstman widział go jeszcze zdaleka, stojącego na kamiennych stopniach, jakby wypatrującego drogę, wiodącą do Jureczka.

Auto wysliznęło się z ostatnich zabudowań miejskich i mknęło rzuconą jak molo na ocean pól i łąk szosa, śmigając jak torpeda.

Wesoło turkotał motor. Ciepłe powiewy muskały Gerstmanowi twarz. Jechało się tak słodko, lekko i swobodnie. Gdzieś w polu dzwoniły skowronki.

Oto za chwilę — myślał — zobaczy panią Elę... Spojrzy w jej niebieskie, czyste oczy, w których nie masz zdrady, spojrzy na jej mądre, wysokie czoło, które ukrywa dobre, ludzkie myśli, spojrzy na jej rozczesane bezpretensjonalnie, a jakże uroczo, na środku głowy złote włosy i na jej zaróżowione wzniesieniem policzki, i weźmie do swej pamięci, już nazawsze, i ustawi w melchizedechu swej myśli po wszystkie czasy wizerunek twarzy tej kobiety, która miała być jego, która nią nie jest, która nią nie będzie...

Cała jego przeszłość skróciła się i zmalowała we wspomnieniu: z wielkiego traktu osobistych losów stała się ścieżką wąską i małą, percią, którejdy jego życie przeszło od chwili poznania pani Eli do chwili dzisiejszego z nią spotkania. Wszystko, co przeżył potem wydało mu się zbytecznym, niepotrzebnym, męczącym. Rozstali się przed jedenastu laty, rozjechali się w przeciwne strony, nic ich wtedy, oprócz nadziei i tęsknoty za sobą, nie łączyło, nic, nawet — słowo. Gerstman przed swym odjazdem nie wyznał jej swej miłości, wydało mu się to wtedy przedwczesnym, a może i zbytecznym, bo przecież i tak wszystko było zrozumiałe między nimi. Niczego nie wypowiedzieli słowami, wypowiedziawszy jednak wszystko. Czy mogli przypuszczać, że wyrok czasu rozłączy ich na tak długo?

— Gdy zwątpiła w mój powrót...

Czy może się dziwić? On sam miał chwile zwątpienia o swym powrocie i sam powątpiewał w to, czy ona jeszcze żyje.

Auto przemknęło przez wąski, jałowcowy lasek.

— Każdy obrót koła, każda sekunda zbliża mnie do niej. Co mi powie i co jej odpowiem? Wszak nie nasza jest przyszłość i nie naszym jest szczęście! W pobliżu rozwarł się widok na blaszane dachy domów i czerwone kominy, ukwiecone bukietami rozczochranych gałęzi drzew — wieś, a na prawo, za ścianą zarośli — białe, murowane w szwajcarskim stylu wille, które przycupnęły, jak grzyby, pod ceglaniem, jakby dranicowymi dachami z czerwonych, wypalanych dachówek.

Auto zatrzymało się w końcu alei przy jednej z takich willi, ogrodzonej żywopłotem.

Gerstman pchnął furtkę i wszedł do ogrodu. Nakrył go cień i mrok rosnących po brzegach alei, wiodącej przed front willi, kosmatych świerków. Kroki idącego skrzypiały na żwirze, budząc osmuconą pustkę dookolną i rozpraszając czar ogrodu. Oszklona weranda była zamknięta. Szofer, krzątający się przy aucie, zauważył, że pani jest pewno w ogrodzie.

— A służba powinna być z tamtej strony willi! — zawołał. Jego głos wdarł się zuchwale jak intruz do wnętrza ogrodu, macając wiosenne nabożeństwo drzew. Gerstman postanowił sam odszukać panią Elę. Zaszły się w głąb ogrodu. Owładnęła nim cisza, spływająca, rzekłbyś, z koron oczarowanych wiosną, do rodnych wisien i jabłoni, ale w głębi jego serca kołatał watły niepokój przed tem spotkaniem. Ogród był duży, porznięty mnóstwem ścieżek. Szersze aleje, wysadzone po brzegach świerkami, a wąskie alejki,

przystrojone drzewami owocowymi, które uśmiechały się białoróżowym okwiatem, jakby w oczekiwaniu na zjawienie się fantastycznego orszaku ślubnego królewicza z Kopciuszkiem. Gerstman wchłaniał z lubością wonne, aromatyczne zapachy rozkwitającej flory i upajał się rześkim, jak natrysk zimnego strumienia, powietrzem. Pręty i witki rozczapierzonych gałęzi muskały go, idącego, po twarzy. Niespodziewanie napotkane na zakrętach pnie grabów czy klonów ocierały się o niego z dobroduszną przyjaźnią. Było mu nad wszelkie powiedzenie dobrze, radośnie i smutno. Plamy słoneczne błądziły i gasły już na żwirze i na soczystej trawie klombów. Nakrywający ogród klosz bławego nieba mierzchnął u podstaw i zaczynał niebieszczyć się, jak połyskliwa emalia.

Gerstman spojrzał na zegarek. Brakowało kwadransu do szóstej.

Minał sadzawkę, podmywającą kołysem klarownej wody swe żółte, piaszczyste brzegi.

O kilkanaście kroków przed nim, na ławce, opartej poręczą o pień modrzewia, siedziała pani Ela, okryta jedwabnym, cyklamenowym szalem, z książką rozłożoną na kolanach. Widziała go już, jak się zbliżał do sadzawki i szedł przybrzeżną ścieżką, ale zabrakło jej sił, ażeby wyjść na jego spotkanie, owszem, zapragnęła nagle gorąco, aby się wrócił czempredzej, aby czempredzej odjechał z powrotem.

Na jej widok pod Gerstmanem ugięły się kolana. Z jaką radością, z jaką rozkoszą przekonywał się, że ona przybladła w chwili, gdy do niej podchodził i gdy, oszołomiony szczęściem jej obecności, przywarł ustami do białych, szczupłych rąk. Milczeli długo oboje, i ta cisza solenna, jaka legła między nimi, zdawała się po wszystkie czasy uświęcać niedokonane śluby ich struchlałych, krwawiących serc, i była bardziej wymowna, miarą niezgruntowanego cierpienia niż wytarte licznymi słów.

Gerstman przypatrywał się jej głodnym, niemal drapieżnym wzrokiem.

— Nie zmieniła się wcale, nie zmieniła się! — Powtarzał w duszy.

Ta sama! Ta sama! Odnajdywał ją — z radością — taką, jaką była, i siebie przy niej.

— Tylko ta bladeść, która powlekła jej twarz, i wzruszenie, które daremnie starała się ukryć!... Zrozumiał dyktowaniem przez szczęście natchnieniem, że ta kobieta jest mu przeznaczona, że on całym swym życiem należy do niej, że przy niej odnajduje sens swego istnienia. I teraz muszą się przesilić i wypełnić ich losy, i musi się stać nieinaczej, niż tak jak chce niezłomna, niepokonana wola ich miłości.

Zrozumiała, i wystraszonem spojrzeniem błagała o litość. Pierwsza przerwała tę okropną ciszę, pytając o jego niedawną przeszłość.

Odpowiedział, że to — nieważne. Nieważnem jest, co się poczyni i dzieje w gorączkowym tartansie codziennych zabiegów i zdarzeń! Ważnem jest tylko to, co wytryska krynica miłości w sercu człowieczem.

— Te całe dwanaście lat były bolesną pielgrzymką mej miłości ku pani... ku twemu sercu!

Skłoniła głowę i bardzo cichutko, przez łzy, prosiła, żeby o tem nie mówił.

— Nie można wywoływać przeszłości, jeżeli nie wolno nam jej wskrzesić!

— Nie wolno?... Ano tak, może i pani ma rację! — powiedział z goryczą.

Prosiła o przebaczenie, ale — nie można, nie wolno, doprawdy — nie wolno! Uśmiechnął się boleśnie:

— Tak się to wlecze nasze życie, chwila zahacza się o chwilę, jak zęby wielkich trybów, a w tym wytrwałym korowodzie czasu, w tych poruszających się niezłomnie trybach rwie się na strzępy i miazdzy w pył rzecz niewielka — serce ludzkie. A jeśli usiłujesz wskrzesić z martwych przeszłość, jeśli usiłujesz się bronić — mówią ci: nie wolno!

(c. d. n.)

PAOLO MONTEGAZZA.

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE.

(Kartka z higieny miłości.)

Autoryzowany przekład z włoskiego Tadeusza Jakubowicza.

Usiadłszy, zapragnąłem odrazu wykryć przyczynę tego zjawiska elektryczności duchowej i spojrzałem na obu swych towarzyszy. Jednym z nich (jakże byłem rad!) okazał się mój Anglik, drugim zaś — jeden z tych ludzi, których poznało się na wylot po upływie godziny. I po obiedzie mogłem istotnie sklasyfikować go w swym *Sistema hominis* za pomocą takiej krótkiej definicji zoologicznej:

Kupiec z Hamburga, lat 35, trzydzieści dwa zdrowiutkie zęby, żołądek, zdolny do strawienia pracy 320 zębów, jasnowłosny, różowiutki, tłusciutki i promieniejący. Zawsze śmieje się, zawsze głodny; przerwa między śniadaniem (godzina pierwsza) a obiadem (godzina czwarta) wydaje mu się niezmiernie długa.

Ani tego dnia, ani później, aż do Bahji, dokąd sąsiad mój udawał się, nie mogłem choćby na jeden cal przeniknąć owego sadła hamburskiego. Gdziekolwiek

próbowałem zarzucić sondę, dokądkolwiek usiłowałem dotrzeć mój rylec badawczy, — znajdowałem jedynie sadło i zadowolenie bez granic.

Zwróciłem się więc ku drugiemu sasiadowi, lecz pierwszego dnia nie udało mi się wydobyć nic nad monosylaby i pilnowałem się bacznie, by nie zakłócić owej bezmiernej szczęśliwości, która nie mogła i nie chciała zająć się czem innem. Był tak bardzo roztargniony, że, gdy go prosił o sól, podawał mi wino, a gdy nagabywano go kilkakrotnie o sos, sięgał po chleb. Szlachetne roztargnienie ludzi prawdziwie szczęśliwych, nieprzenikniona atmosfera, co opancerza ich i odgradza od świata!

Po obiedzie fale zwiększyły się i podróżni udali się do swych kajut, aby zażegnać ową groźbę, co zwie się chorobą morską. Ja zaś, pozostawszy do późnego wieczora na ławeczce pokładu, widziałem, jak młody Anglik stał ciągle na przodzie statku, patrząc w dal, a jeśli rozpoczynał krótką przechadzkę, powracał natychmiast z niecierpliwością na swe miejsce, ku widno-

křęgowi swej szczęśliwości, którego ciemność nocy nie potrafiła mu przesłonić.

Zdarzają się fakty ciekawości gorączkowej, nie-spokojnej i drażniącej, silniej jak namietność: takie było moje pragnienie znajomości z owym człowiekiem szczęśliwym, człowiekiem o ustach Anglika, a głowie Włocha. Przeczucie mówiło mi, że zostanie któregoś dnia moim przyjacielem. Miałem wówczas dwadzieścia dwa lata, a w owym okresie pierwszej i gorącej młodości nieznane i fantastyczne upajało mnie.

Następnego dnia jeszcze przed pierwszym śniadaniem wiedziałem, że Anglik nazywa się William B... W naiwności młodzieńczej wyobrażałem sobie, iż wykryłem rzecz nadzwyczajną. Zresztą, ani podczas posiłków, ani też w ciągu długich godzin nudy morskiej, zbliżających podróży niby jedną rodzinę, nie udało mi się nawiązać rozmowy z Williamem. Nie unikał podróży, lecz też i nie szukał ich, i odpowiadał na wszystkie pytania z takim roztargnieniem, że doprawdy potrafiłby onieśmielić najbardziej pospolitego i przykrego z natrętów. Uśmiechał się uśmiechem ludzi szczęśliwych, lecz mroził na ustach wszelką rozmowę.

Widziałem go niejednokrotnie z cygarem, lecz nie palił, niejednokrotnie trzymał w ręku książkę, lecz nie czytał; był sam, absolutnie sam, pogrążony całkowicie w rozkosznym odmęcie szczęścia bez miary.

Zupełnie przypadkowo los dał mi do rąk klucz, który pozwolił przeniknąć w ową twierdzę.

Czternastego czerwca przybyliśmy do Lizbony, a wieczorem tegoż dnia odpłynęliśmy. Nazajutrz wstałem bardzo, wcześniej i wyszedłem na pokład odetchnąć świeżym powietrzem poranka. Spostrzegłem Williama, przechadzającego się już z rękoma w kieszeniach. Postanowiłem natychmiast rozpocząć przechadzkę po stronie przeciwległej, pragnąc uszanować tę szczęśliwą samotność; obserwowałem go jednak, powiem nawet, że nie spuszczał go z oka. W pewnej chwili zauważyłem, jak ruchem energicznym, znamionującym nagle i mocne postanowienie, zbliżył się do sternika, zapytując o coś.

Zapomniałem wówczas o delikatności, zapomniałem o świętem poszanowaniu, jakie żywiłem zawsze dla cudzej wolności i, zbliżywszy się, jak gdyby nie chcący do sternika, jałem słuchać rozmowy tych dwojga ludzi, tak bardzo odmiennych, w owej chwili zbliżonych przypadkiem:

— Powiadacie więc, sterniku, że za dwa dni będziemy na Maderze?

— Tak, panie, jeżeli morze będzie tak spokojne, jak teraz.

— A więc za czterdzieści osiem godzin na Maderze! — rzekł głośno William. — Świetnie, mój sterniku, doskonale, — dodał, zacierając ręce z niezwykłą żywocią i drżąc nieomal w paroksyzmie radości... Ta wyspa musi być z pewnością rajem!...

Nie było wątpliwości: tajemniczy ten człowiek miał na Maderze cząstkę swej istoty. Serce jego wybuchowało w obliczu fascynującej jakiejś nadziei, płonące oczy, utkwione w szarej mgłę poranka, szukały Maderę długo, z upragnieniem.

„Człowiek szczęśliwy jest pobłażliwszy“, powiedziałem do siebie z szybkością błyskawicy, i z delikatnego stając się zuchwałym, odparłem na to skierowane do sternika — nieomal zapytanie.

— Tak, panie, Madera jest prawdziwym rajem.

William odwrócił się raptownie i teraz dopiero spostrzegłszy moją obecność, rzekł:

— Był tam pan już niejednokrotnie?

— Nie, lecz studjowałem namietnie wszystko, co tej wyspy dotyczy i tyle razy myślałem o tem, żeby spędzić tam część życia, iż zdaje mi się, że ją znam tak, jak gdybym już odwiedzał ją kilkakrotnie.

— Czyż tak? Doprawdy! Niech mi pan coś opowie! — I podziękowawszy szybko, lecz uprzejmym głosem marynarzowi, który mu zwiastował ową radość, William jał przechadzać się obok mnie wzdłuż pokładu parwea.

William był moim. Jak to bywa setki razy w życiu, przypadek, który sprawił, iż wstałem o godzinę wcześniej, niż zwykle, że znalazłem się w pewnej chwili obok sternika, — związał ze mną na zawsze człowieka, o którego poznaniu zwatpiłem już zupełnie.

Powiedziałem mu, że badałem głęboko klimat Madery, gdyż przez jakiś czas prześladowała mnie myśl, że jestem chory na płuca i myślałem o owym raju, jak o ostatniej desce ratunku, a może jak o trumnie kwietnej, która przyjmie me kości.

Kiedy nowy moj przyjaciel dowiedział się, że jestem lekarzem, że badałem klimat Madery, serdeczność jego nie miała granic, i gdybym nie był wyczytał wyraźnie na jego obliczu, że płucom jego nie jest potrzebna zmiana powietrza, mogłem być pomyśleć, że udawał się na Maderę dla ratowania swego właśnie zdrowia.

Owego dnia śniadanie zastało nas jeszcze rozmawiających o Maderze, i ja wyładowałem zasoby swej erudycji odnośnie tej wyspy, szczęśliwy, że zajmowałem się nią kiedykolwiek.

Po dwóch dniach William został moim przyjacielem, lecz ja nie skierowałem doń jakiegokolwiek zapytania, dotyczącego celu jego podróży. W obliczu tego człowieka, odczułem silnie ów wpływ fascynujący, jaki wywierały na mnie zawsze umysły wyższe i tegie charaktery, czułem ową potęgę oddziaływania, właściwą wielkim namietnościom.

Nie wiedziałem, jaką była namietność Williama, lecz byłem przekonany, że musiała ona być z rodzaju tych, co spalają najsilniej serce ludzkie, co mogą jednej chwili uczynić z człowieka Boga lub potwora, napełnić go cudną szczęśliwością lub piekielną boleścią.



Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

30

X. Sąd i stos.

„Był niektóry sędzia w jednym mieście, który się Boga nie bał, a człowieka się nie wstydał“. Ewangelja św. Łukasza XVIII.

„Uczynim piękny proces!“ mówił Cauchon, zacierając ręce. Miał nadzieję, że z tego procesu wyjdzie arcybiskupem Rouen... Ow salwetny Cauchon—woła Delteil—którego nazwisko samo*) jest wspaniałym wynalazkiem Przeznaczenia! Oto on, biskup z duszą osła, bastard Judaszowy, wieprz Historji!“

Niesłusznie obarczony później całą odpowiedzialnością moralną za potworne dzieło, dokonane przy wydatnej pomocy innych księży, pod zbrojną presjanajezdcy, za biernem przyzwoleniem Francji całej — był przecie bezwątpienia główną tu siłą czynną. Jego inteligencji, energii, stosunków, jego pędu ku wyżynom kariery, niehamowanego żadnemi skrupułami — użyli zręcznie Anglicy do wykonania swego piekielnego planu. Jaką doń przywiązywali wagę — świadczy o tem wymownie stała teraz obecność w Rouen kardynała Winchester, właściwej głowy

Mając w ręku prawdziwą sprawczynię moralnego i wojskowego odrodzenia podbitego kraju — zamierzali dowieść, przez francuski właśnie sąd kościelny, nieprawomyślności jej i występków jaknajcięższych, przeciw wierze. Rozumowali trafnie, że w ten sposób zakwestjonują również koronę Karola VII, że podetną w korzeniu całe jej dzieło: świeżo obudzone siły Francji.

Dla osiągnięcia tego celu nie gardzono żadnemi środkami — gdy jedne zawodziły, chwytało się innych. By się obwarować na dwie strony, wzięto przyrzeczenie od władzy kościelnej, że oskarżona wydana będzie w ręce angielskie, bez względu na wynik procesu; gdyby nie mogła być spalona, z wyroku sądu duchownego, to można będzie ją zgładzić, jako niebezpiecznego jeńca wojennego. Więzienie jej nosiło ten sam podwójny charakter: strzegli jej żołnierze, zaprzysiężeni jednak przez biskupa.

Dostojne zgromadzenie, co ją sądzić miało, — nie był to też normalny sąd inkwizycji, jakich wiele sprawowano podówczas nad oskarżonymi w kwestiach wiary — lecz raczej rodzaj lokalnego synodu... Szło bowiem o to, aby sprawie nadać wagę i rozgłos jaknajwiększy — wciągano w nią zatem ogół kleru z zabranych prowincyj, mianując masowo assesorami wszystkich wybitniejszych księży, przy użyciu nawet pewnego terroru. W taki sposób powstało owo zbiorowisko, które miało zniesławić i skazać Joannę d'Arc. Obok słabości ludzkiej, co nie ma odwagi dać świadectwa prawdy, widzimy tu zamilowane słuźstwo fałszu i przemocy, interesowane w ich rozroście całkiem osobiście.

Kanonik Midy i doktor teologii Beaupère, to ślepe narzędzia Cauchon'a: przez cały czas trwania procedury są jego echem i ręką prawą. D'Estivet, promotor sądu, przewyższa ich jeszcze zapalem i ordynarną bezwzględnością. Lecz rekord podłości bierze Loyseleur, kanonik z Rouen, który poniżył się do roli szpiega-prowokatora... Bardziej bezinteresownym i niezależnym był de Courcelles, wybitny teolog, którego gorliwej czynności w tem dziele trudno sobie wytło-

maczyć. Szlachetne postacie wśród tej ohydy, to dwaj młodzi dominikanie: Marcin Ladvenu i Isambart de la Pierre. Odnosi się wrażenie, że tkwili tam poto jedynie, aby ratować Joannę, jeśli nie fizycznie, to moralnie.

Jan Lemaître, tchórzliwy mnich, co nie śmie się wymówić od sędziowskiej ławy — reprezentuje może przeciętny typ assessora. Bo też trzeba było nielada determinacji, by odrzucić wezwanie do udziału w takim sądzie!

Doświadczyli tego na sobie: biskup Avranches, Jan de St. Avis, Mikołaj de Houpeville i paru innych szlachetnych ludzi, więzionych przez Anglików za to jedynie, że krytykowali procedurę i odmówili współdziałania. Wystarczało zresztą odezwać się wobec kilku osób z obroną oskarżonej, by ściągnąć na siebie poważne niebezpieczeństwo — jak ów człowiek, co się zaledwie schronił do kaplicy przed mieczem lorda Stafford...

Postępowanie prawne zaczęło się w początkach stycznia 1431 r., od zbierania materiałów. Specjalni wysłańcy przywieźli z Donmrémy wiadomości o dzieciństwie Joanny, w którym usiłowano doszukać się jakichś stosunków z rusalkami i innemi podejrzanemi duchami.

Powtórne oględziny, dokonane przez samą księżnę de Bedford, wykazały wprawdzie dziewiczość oskarżonej — a to samo wystarczało już do obalenia podejrzeń o czarnoksięstwo — nie zważano na to jednak i ten właśnie najcięższy zarzut wytoczyć miano tak dalece, że dalej bez skrupułów przezywano nieraz Joannę od „nierządnic“!

Dla uzyskania nieoficjalnie szczegółów z własnych ust oskarżonej, nie zawahano się przed plugawym podstępem. Loyseleur, w przebraniu, podawał się wobec Dziewicy za współwielżnia, szewca z Lotaryngji — potrafił podobno wkraść się w jej zaufanie i toczył z nią długie rozmowy. Kiedyindziej znów przychodził, jako spowiednik, namawiając do zeznań przed sądem, jaknajbardziej ją obciążających, a wyłudzone w ten sposób zwierzenia zdradzał później... Widząc, że głęboko pobożna ta dusza potrzebuje sakramentów tak nieodzownie, jak ciało chleba — pozabawiono ją ich, by tem skuteczniej złamać.

Lecz Joanna, wprowadzona na salę sądu, 21-go lutego 1431 r., w swym męskim stroju — jest nieugięta. Żąda śmiało, w imię bezstronności trybunału, aby doń wezwano kler, wierny Karolowi; protestuje przeciw kajdanom, a wzywana do przysięgi, zaznacza wyraźnie i uparcie, że zamilczy o tem, co uważa za tajemnicę pomiędzy sobą a Bogiem.*)

„Nie wyjawię wszystkiego, co wiem, choציabyście mi głowę zdjąć mieli!“

Opowiada szczerze o swych najmłodszych latach i rodzinie; lecz, gdy od niej żądają pacierza, odrzecz:

„Zmówię ci go z serca przed księdzem biskupem, na spowiedzi!“***)

(c. d. n.)

*) To zastrzeżenie i walka sędziów z niem powtarza się przy każdej sesji.

**) Której jej odmawiano.

JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

8

Udomowienie niektórych gatunków zwierząt, ujarzmienie ich i korzystanie z usług, jakie są w stanie oddawać człowiekowi, bezwzględnie powstało na tej właśnie dziedzicznej, ogromnie potężnej skłonności zwierząt, jaką jest instynkt dobrowolnego posłuszeństwa w stosunku do rozumniejszych i silniejszych.

Psy, barany, kozy, renifery, woły, konie, słonie i t. d. żyją w mniej lub więcej licznych stadach, ulegających jednemu zwierzchnikowi. Znajdując w swoim nowym panu, człowieku, wyższy stopień przewagi niż ten, któremu ulegali poprzednio, poddają się mu bez trudności. Wogóle, na tej skłonności zwierząt — jednego do panowania, drugich, do uległości, oparty jest zwyczaj używania w fermach, n. p. w Gwianie — agami, jako zwierzchnika ptaków domowych, w Afryce — żorawia do prowadzenia stada baranów; a na całym świecie pies strzeże bydła małego i dużego.

Prawdziwe osvajanie, udomowienie zaczyna się dopiero wraz z hodowlą. Widzimy często w ludzkich fermach, sąsiadujących z lasami, oswojone młode wilki, a nawet dziki. Myśl łapania i wychowywania sobie młodych zwierząt, rozpowszechniona w społeczeństwach cywilizowanych, powstała już w umysłach ludzi pierwotnych. Musiała szczególnie, jak twierdzi Espinas — podobać się kobietom, którym dawała możliwość zadawalniania w łatwej formie ich instynktów macierzyńskich. Gdy zwierzęta owe, rosnąc, stawały się jednak drapieżnymi, zabijano je, lecz, jeżeli mogły wydawać potomstwo ze swymi towarzyszami dzikimi lub będącymi w niewoli, to pewna liczba ich pokoleń zostawała się już pod władzą człowieka i coraz chętniej przyjmowała jego panowanie. Zwierzęta inteligentne uważają człowieka za istotę nieskończenie wyższą od siebie, z którą, o wiele jest korzystniej zawrzeć przymierze niż walczyć! To tłumaczy nam wybuchy namiętne czułości, jako też oznaki bezgranicznej pokory, jaką okazują swemu panu te z nich, które są obdarzone zdolnością objawiania uczuć. Mylnie się sądzi, że tylko pies jest zdolny do podobnych objawów. Najdziksze k.o.t.y. tarzają się miłośnicie u nóg swego zwycięzcy. Małpy otaczają szyje swoich chlebobawców rękami i obsypują ich głowy pocaulunkami wprost ludzkiemi! Ptaki też. Nauman opowiada, że ptak K.u.l.o.n krzykliwy oswojony, nie znajduje innego sposobu okazania człowiekowi swego uwielbienia, jak ten sam, który mu służy do pozyskania samicy w czasie miłości. Wykonywa zatem koło człowieka tańce, połączone z cichymi okrzykami. Łagodne obchodzenie się ze zwierzętami, dobroć okazywana im, potęguje wzrost uczuć ich do człowieka i u niektórych gatunków dochodzi do niezwyklej egzaltacji. Objawiają one wtedy niepokohamowaną zazdrość, gdy łaska ludzka w ich oczach spada na kogo innego, nie na nich samych. Bywały wypadki, gdy psy zagryzały dzieci swoich państw, w szale zazdrości, że były one w ich oczach obdarzane pieczyotami, których łaknęły dla siebie. Ma to tem głębsze znaczenie, że jest stwierdzone, że, po za obrębem stosunków płcio-

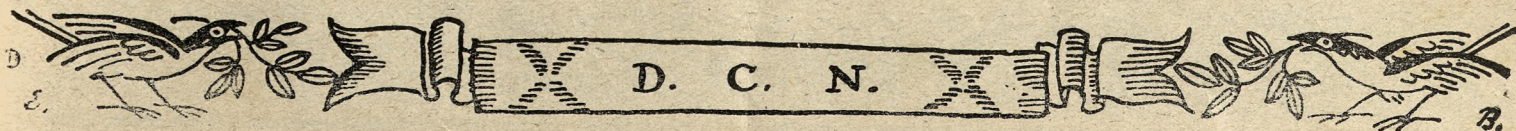
wych, zwierzęta nie okazują nigdy zazdrości względem innych stworzeń. Człowiek jest więc dla zwierząt wyższych tą istotą odrębną, nadprzyrodzoną, królewską i dlatego tak chętnie przyjmują jego jarzmo i prawie nigdy się nie buntują, pomimo nadużyć w ich kierunku ze strony ludzi.

Gdyby nasze woły i barany wiedziały, jaki los je czeka, podniosłyby napewno bunt ogólny, któryby ludzkości mógł sprawić wielki kłopot! Każde zwierzę jednak obawia się nadewszystko bicia i głodu, lecz nie lęka się śmierci, gdyż niema o niej jasnego wyobrażenia i jej nie przewiduje. Przeżuwają, które są najmniej inteligentne wśród ssących, nie rozumieją przyczyny nagłego znikania bezpowrotnego swoich współtowarzyszy, tembardziej, że długa niewola wyrodziła w nich wiele instynktów. W każdym zaś razie zapominają o nich szybko wobec zawsze pełnego żłobu.

To też ludzkość, tak, jak wyzyskiwała, może i nadal spokojnie w okrutny sposób wyzyskiwać moc swojej władzy i czaru nad zwierzętami. Bunt ich nam nie grozi! Niczyje serce na globie ziemskim nie jest równie ufnie i łatwo przebaczące, jak zwierzęce. Ciele zawsze będzie szło do ręki ludzkiej, która się nie cofnie zaprowadzić je na rzeź i wbić mu nóż w serce lub gardło; skatowany pies już po chwili czołga się u nóg swego ubóstwianego pana i z narażeniem własnego życia strzeże jego dobytku. A że serce ludzkie i ludzkie sumienie pozwala człowiekowi tak postępować ze zwierzętami i nie wyciąga żadnych głębszych wniosków ze współżycia ze światem otaczających nas istot — sam sobie tem tylko wystawia najgorsze świadectwo. Zresztą, ludzie, łącząc się ze zwierzętami, nie mieli na celu ani poznania ich tajemnic życia, ani idealnego współżycia lub współpracy z niemi! Celem ich było wyzyskać je do swoich celów, do swego życia — co też godnie czynią!

A małpy? Jedne żyją ograniczonemi rodzinami, inne licznemi gromadami. Cechy charakterystyczne, które je wyróżniają od innych zwierząt, stanowią — solidarność w najwyższym stopniu wszystkich członków, oraz ślepe posłuszeństwo nawet silnych samców w gromadzie — obranemu wodzowi. Za to ten znów rozumie ogrom swej odpowiedzialności i podjętych obowiązków i spełnia je nieraz ponad swe siły. Ma on dobranych sobie do pomocy z pośród silniejszych, starszych i roztropniejszych samców, którzy pełnią przy nim funkcję jakby adiutantów. Roznoszą po gromadzie jego rozkazy i pilnują surowo ich wypełnienia.

Miłość macierzyńska u małp jest silnie rozwinięta. Matka pielęgnuje sama małe, ale cała gromada czuwa troskliwie nad wszystkiemi młodem i osobnikami, których wychowanie bywa bardzo długie. W pewnym ogrodzie zoologicznym, jak przytaczają Leuritet Gratiolet (t. I. str. 583) młody pawian, którego matka umarła, był przedmiotem bardzo troskliwych starań swego ojca i sypiał zawsze w jego objęciach, a miał już 3 lata!





Kobieta w świecie w domu.



DOM KOBIECY W PARYŻU.

Dnia 23 czerwca r. b. otwarta została w Paryżu piękna instytucja społeczna, pod nazwą „Dom Kobiecycy”, założona staraniem Armii Zbawienia, celem ratowania od zepsucia wielkomięjskiego tysiąca kobiet, pracujących na swe utrzymanie i pozbawionych opieki rodziny.

Olbrzymi gmach przy ulicy de Charenne, urządzony według wszelkich wymagań nowoczesnego komfortu, pomieścić może tysiąc pięćset pensjonariuszek, które za niesłychanie niską opłatą trzech franków i siedemdziesięciu pięciu centymów dziennie mogą otrzymać całodzienne, zdrowe i obfite utrzymanie. Na pięciu piętrach tego pałacu (trudno bowiem nazwać go inaczej) mieszczą się pokoje mieszkalne — po sto sześćdziesiąt pokoi na każdym piętrze w obydwóch skrzydłach tego gmachu. Za pokoje te płacą ich właścicielki od dwudziestu pięciu do trzydziestu franków tygodniowo (co przy braku mieszkań w Paryżu i związanej z tem wysoką ceną tych mieszkań jest sumą bardzo niską). Jest jednak dużo pensjonariuszek, które nie płacą wcale, zamieszkały bowiem w „Domu Kobiecym” z powodu braku zajęcia. Te zapłacą swą należność dopiero po znalezieniu pracy i wtedy ustąpią swe mieszkanie innym bezdomnym i bezrobotnym dziewczętom.

Urządzenie wewnętrzne pokoi mieszkalnych nie przypomina w niczem zwykłego typu koszarowoszpitalnego, w jakim są najczęściej utrzymywane tego rodzaju instytucje nawpół dobroczynne. Dla pensjonariuszek „Domu Kobiecego” nie żałowano niczego, co może dać samotnej kobiecie iluzję własnego zacisza domowego i uczucia komfortu. Każdy pokój urządzony jest inaczej, z pomysłowością doprawdy zadziwiająca. Ściany, wykładane fajansowymi kafłami o żywych barwach, zdobią ładne dywaniki i kilimki, dobre reprodukcje dzieł sztuki w ładnych ramach i t. p. Na podłodze dywan, nie luksusowy, ale gustowny i dobrego gatunku. Mebelki skromne, lecz wytworne swą prostotą i świeżością. Duże lampy elektryczne rzucają snop światła: wszystko jest jasne i wesołe, wszystko zdaje się uśmiechać do tej samotnej, znękaney życiem kobiety, która przekroczyła próg tego pokoju, zgarbiona pod ciężarem walki o byt, a po kilku godzinach pobytu wśród tych ścian zdaje się odzyskiwać energię i wiarę w lepsze jutro...

Jedno skrzydło gmachu zajmują urządzenia gospodarcze: wielkie, czyste i jasne kuchnie, pralnie wraz z suszarniami, gdzie bielizna pierze się sposobem automatycznym i suszy za pomocą maszyn elektrycznych, olbrzymia hala restauracyjna, mogaca pomieścić tysiąc pięćset osób, biblioteka, czytelnia, sala koncertowa i teatralna, kino, boisko, sala klubowa itp.

„Dom Kobiecycy” jest naprawdę przystanią dla całego szeregu samotnych i narażonych na ciężką walkę z życiem kobiet. Życzyłoby tylko należało, aby podobne instytucje powstawały jaknajliczniej i to przede-

wszystkiem u nas, gdzie tyle bezdomnych kobiet na próżno szuka schronienia przed nędzą i ohydą życia!
Z. B.

W PAŃSTWIE X MUZY.

Legendarne to państwo mieści się na drugiej półkuli świata, hen, za Atlantyką, w zachodniej części Stanów Zjednoczonych — Kalifornii, zwanej „krajem wiecznej wiosny”, na wielkim przedmieściu miasta Los Angeles, w Hollywood. W tem mieście „tysiąca wytwórni” (city of thousand studios) królują kapłanki X Muzy, piękne i czarujące, których legendarne bogactwa zapierają oddech w piersiach wielu kobiet, a na ustach innych wywołują uśmiech niedowierzania. Ale, mimo sławę i wielomilionowe zarobki (zawrotne bowiem gaże gwiazd filmowych nie są bynajmniej przesadzone), promienne „stars” zza oceanu nie zatracają się w oszalamiającej fali zbytku, przepychu i rozkoszy. We wspaniałych, jak z bajki, sesjach Hollywoodu pamiętają zawsze, że są kobietami, córkami swojej ojczyzny i siostrami swoich bliźnich. Czarnooka Colleen Moore, taka napozór lekkomyślna i pusta — kocha nad życie swą biedną, kamienistą Irlandję. Znaczna część oszalamiających gaż wydaje na potrzeby ubogiego kraju i rok rocznie odbywa daleką pielgrzymkę przez ocean, do grobu Św. Patryka — patrona Irlandji.

Nasza rodaczka, głośna dzisiaj na obu półkulach, Pola Negri w legendarnej krainie X Muzy, otoczona glorią uznania, nie zapomniała o Polsce, w której spędziła ubogie, głodne i chłodne, dzieciństwo. W majątku swym pod Bydgoszczą utrzymuje schronisko dla dziewcząt, z którego dobroczynnej opieki korzysta około 200 bezdomnych sierot. To też podczas ostatniej swej wizyty w kraju rodzinnym Pola witana była przez swe wychowanki, niby wróżka, dobra i miłosierna.

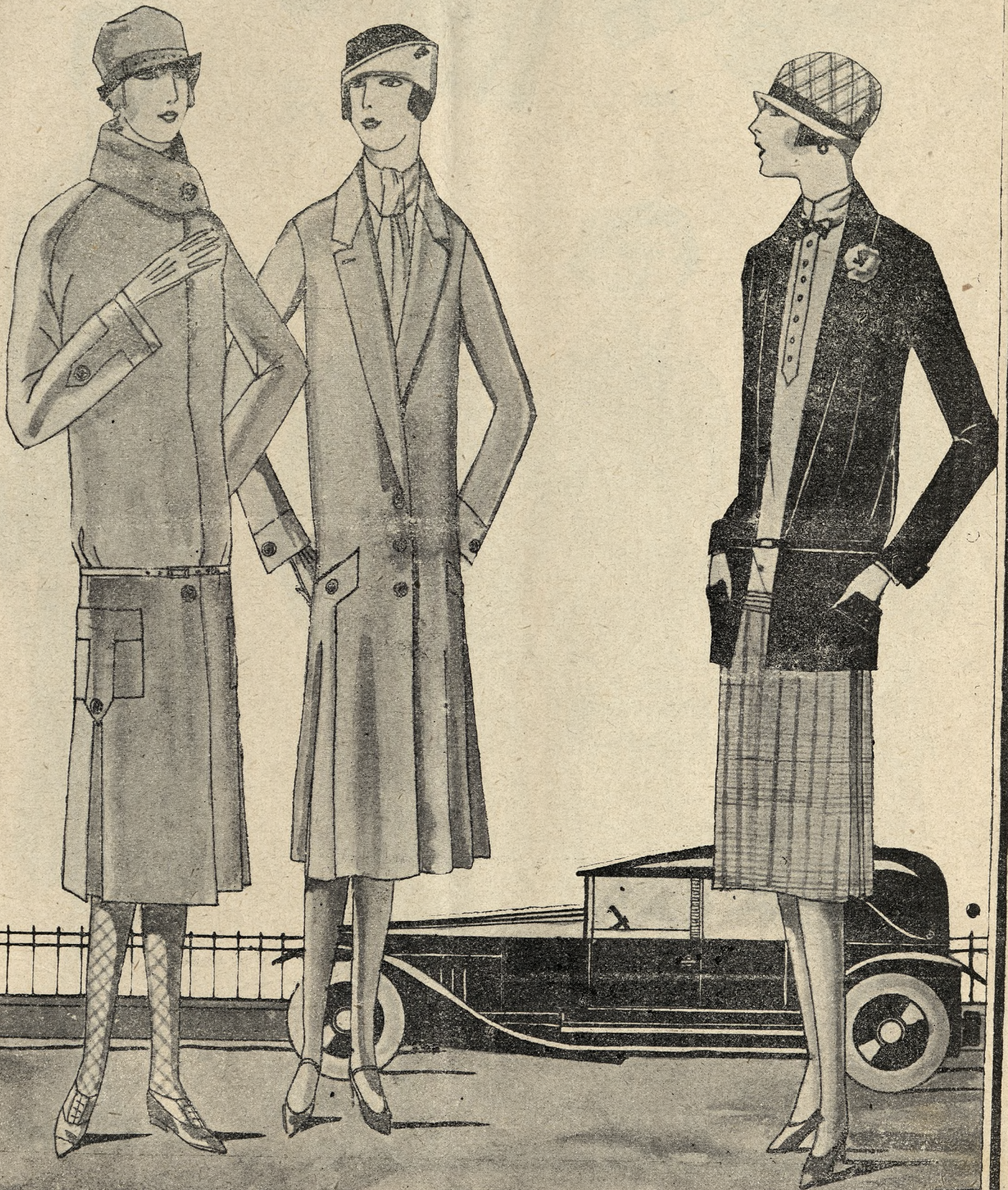
Złotowłosa Mary Pickford — nasz gość niedawny — opiekuje się serdecznie ubogą dziatwą z Los Angeles. Piękny zaiste obrazek przedstawia jasna główka aktorki w aureoli przeważnie hebanowoczarnych kędziorów dzieciarni krwi mieszanej — hiszpańskich najeźdźców i tubylczej ludności indyjskiej.

A zmarła przed pół rokiem Barbara La Marr, t. zw. „wampir”, to znaczy, odtwarzająca role kobiet złych, zimnych i bez serca, w tajemnicy przed otoczeniem i publicznością, „aby sobie nie zepsuć opinii rzetelnego wampira”, opiekowała się i utrzymywała wzorowy zakład dla dziewcząt upadłych, w którego murach liczne rzesze nieszczęśliwych, zbłąkanych istot znajdowały opiekę, otuchę i możliwość uczciwej pracy.

Tak oto przedstawiają się bliżej owe sławne „kobiety ekranu” (screen women), o których świat wie tylko, że są piękne, którym zazdrości bogactw i toalet, sławy zawrotnej i rozkosznego życia. Ale nie wie o tem, że i one mają serca...
R. P.



MODY I ROBOTY



P. 91.

P. 92.

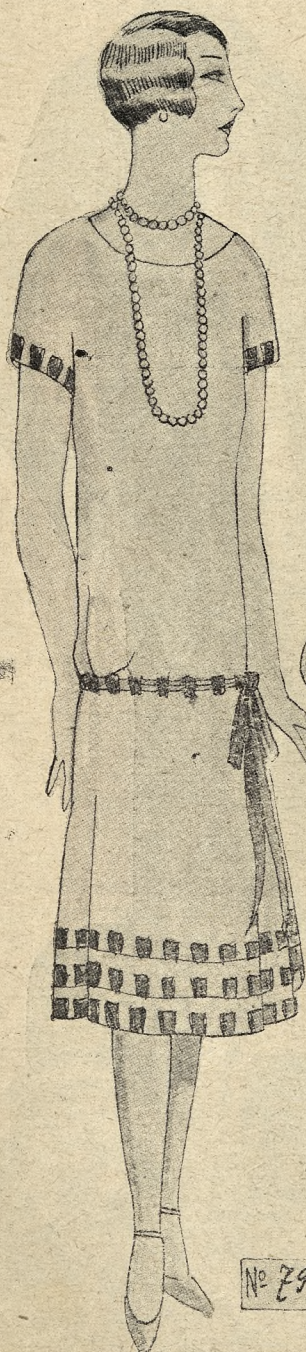
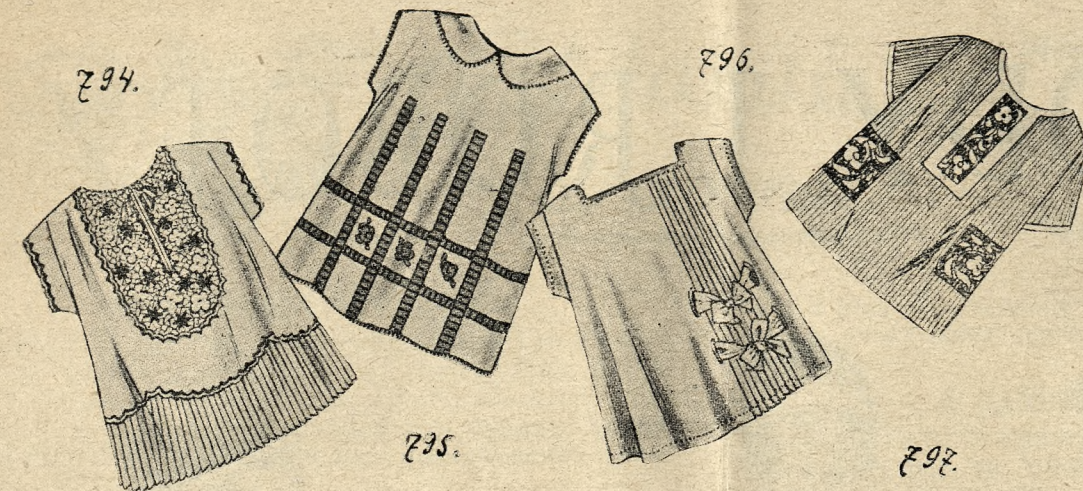
P. 93.

794.

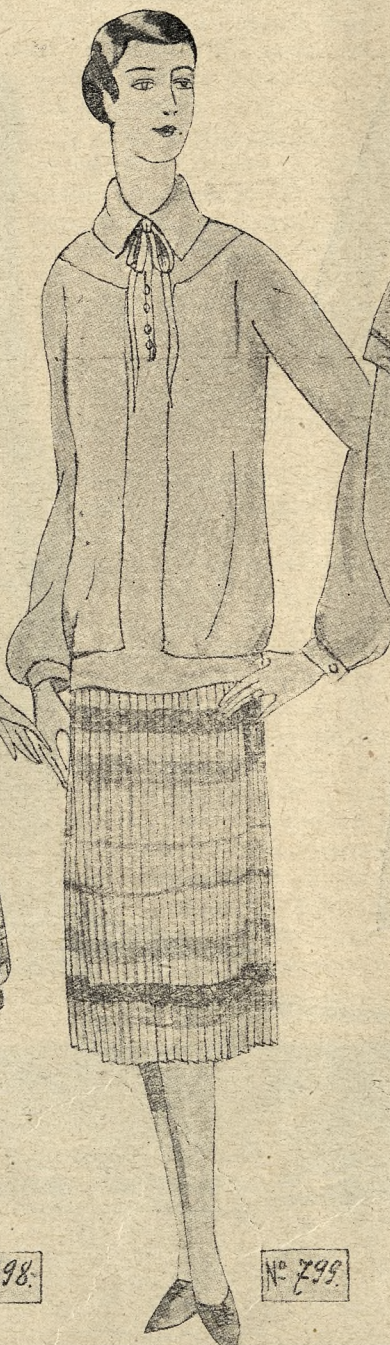
796.

795.

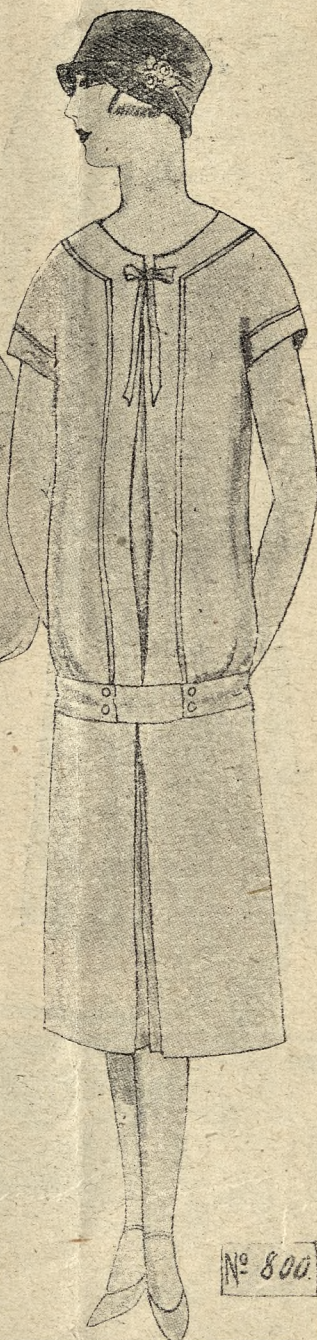
797.



Nº 798.



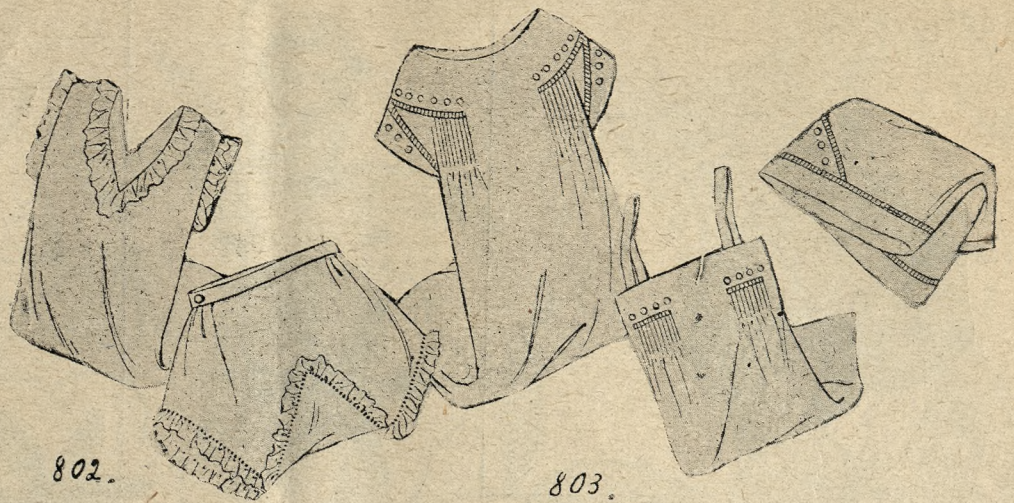
Nº 799.



Nº 800.

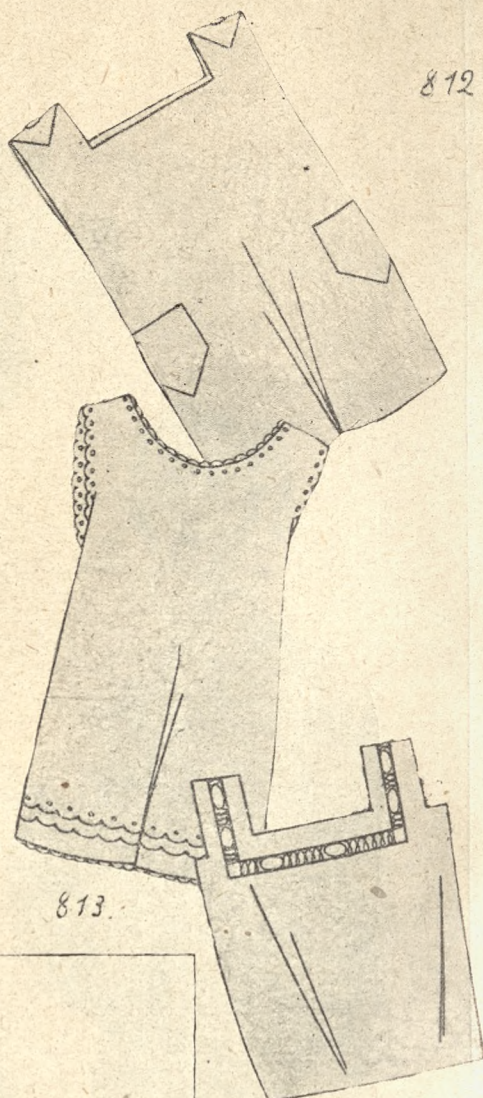
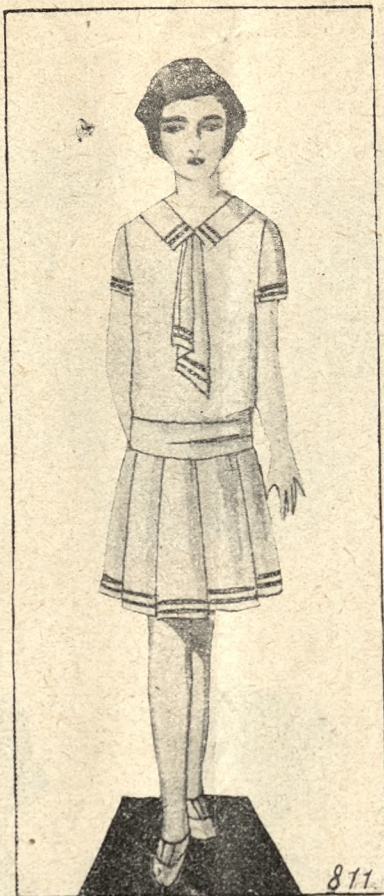
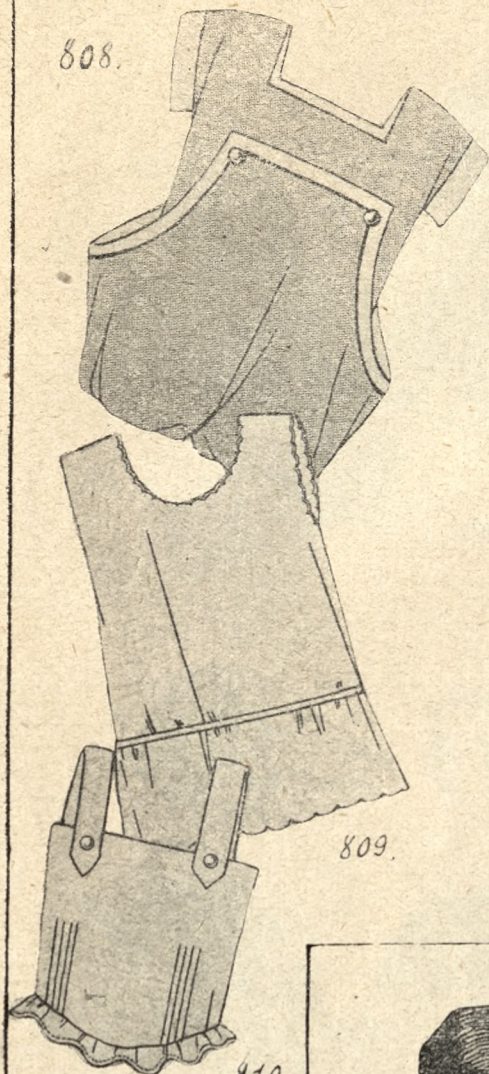


Nº 801.



808.

812



810.

813.

814.



815

816

817

819

820

/ bronzowy

złoty

zielony

napisywany

pomarańczowy

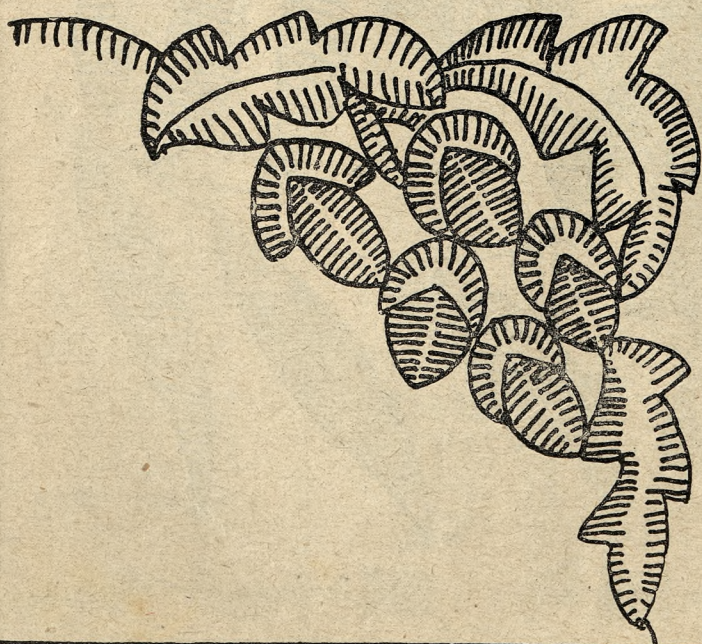
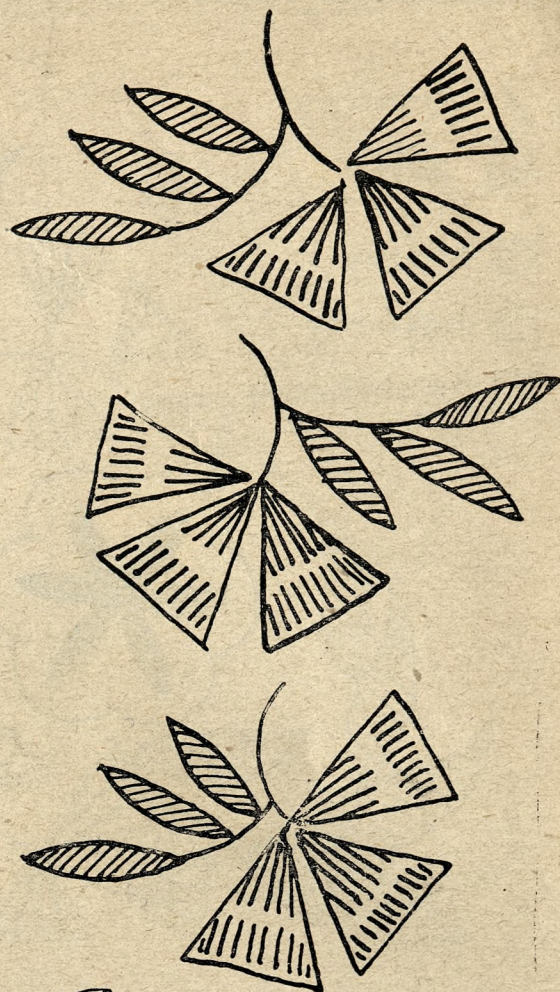


821.



822.

niebieski ciemny złoty niebieski jasny czerwony zielony brązowy

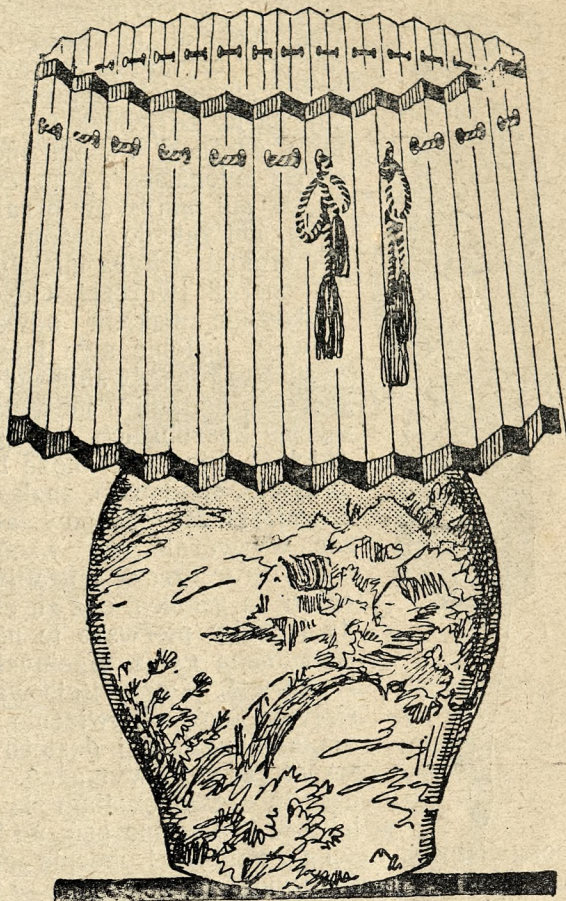


MODNE ABAŻURY.

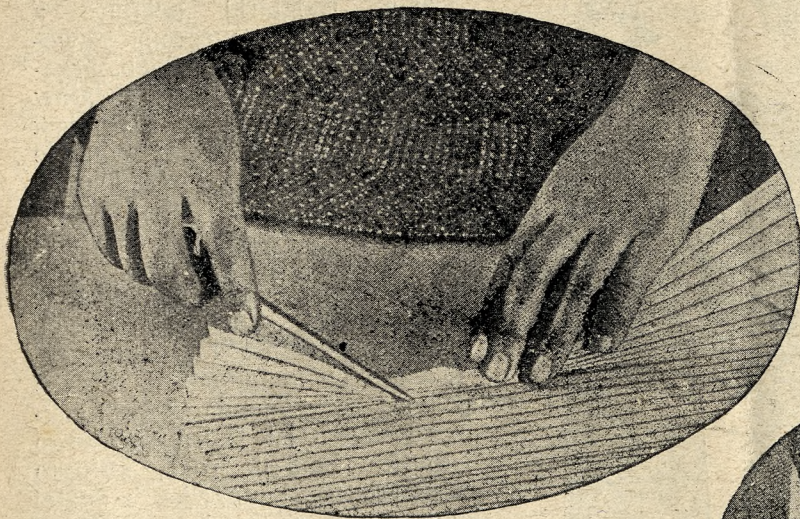
Bardzo ładne a tem samem modne są dziś abażury układane z papieru, tanie i łatwe do zrobienia, często zmieniane być mogą, to też na lato innego rodzaju nie wytrzymują z nim konkurencji. Nałożone na podstawę z drutu, który pod papier nie potrzebuje nawet owijania, łatwe do zabrania w drogę, przyozdabiają i nadają charakter kultury na letnisku, zwykle nie kulturalnemu otoczeniu letnich mieszkań. Jeżeli chcemy, aby nie był przezroczysty, robimy go ze specjalnego kolorowego papieru. Ślicznie wygląda papier pergaminowy, który albo zostawiamy w naturalnym kolorze, albo malujemy pędzelkiem na jeden np. pasowy lub srebrny kolor. Kto jest zręczny i pomysłowy, może papier, zanim go zkarbuje, ozdobić u góry i u dołu szlakiem malowanym lub układanym z wycinanych wesołych i barwnych kolorów, lub humorystycznym. Obwód średnio dużego abażuru na 60 cen: ma 30 cen wysokości. Ukrajany pas papieru karbuje się za pomocą drewnianego noża do papieru, na ryc. Nr. 2 przedstawionym, w fałdki 1½ cm. szerokie. Za pomocą maszynki do dziurkowania rachunków, kwitów i t. p., jaka się prawie w każdym zagospodarowanym domu znajduje, wycina się u góry na 4 cm. od brzegu dziurki rys. Nr. 3, przez które przeciąga się sznur jedwabny lub wstążeczkę i wiąże na zgrabną kokardę,

Po wyschnięciu, ufarbować i zlepić. 2 pasy kalki, między które ułoży się rysunki motyli, kwiatów. Kwadraty, medaliony też ładnie wyglądają.

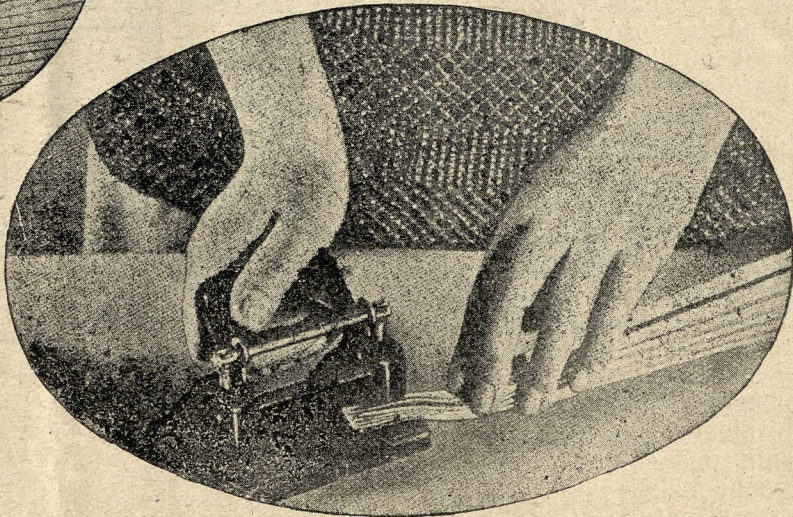
Ładny efekt daje cieniutki fularek podlepiony grubym muślinem, zakończony u dołu wstążeczką w złotym lub odmiennym ale dobrze dobranym kolorze. Taką samą wstążeczką naciągnąć abażur, za-



kończyć go rodzajem pomponu z wstążki. Przylepia się fularek do muślinu klajstrem, który nie płami i dodaje sztywności. Po należytem dopasowaniu wierzchu ze spodem, trzeba włożyć materję pod coś bardzo ciężkiego, uważając, aby nigdzie nie załamała się i równo przyschła. Taki abażur, choć bardzo elegancki, mija się z powołaniem letniem, dużo jest bowiem kosztowniejszy od papierowego.



jedną lub dwie, jak to rys. Nr. 1 wskazuje. Po skończonem karbowaniu, trzeba zlepić abażur w kółko, zakładając jedną fałdę na drugą. Sznur przeciągnięty zakończyć chwastem. — Wstążkę — dużym szklanym paciorkiem. Można abażur taki, przed skarbowaniem, cały umalować w deseń dowolny, ale efektowny i przede wszystkim barwny.



HAFTY I APLIKACJE.

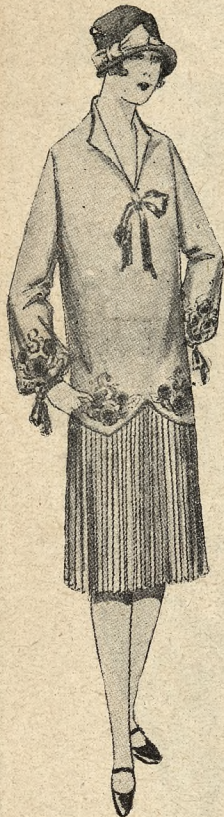
Wbrew twierdzeniom pesymistów, że hafty wychodzą z mody, że nawet już wyszły, w Paryżu panuje istny szal haftów. Broderies russes, broderies bulgares, broderies roumaines, figurują nieomal na każdym modelu. Ile razy czytam te nazwy w żurnalach francuskich, ogarnia mnie głucha pasja, że jednak my nie potrafimy narzucić światu mody „broderies polonaises”. A przecież zdaje się, że ani motywów ornamentacyjnych, ani rąk do wykonania u nas nie braknie. Chyba inicjatywy, chyba energii twórczej. Gdyby Panie obdarzone smakiem i odwagą, spróbowały ozdobić swe letnie suknie z surowego jedwabiu lub białego kreponu, haftami o motywach ludowych, kaszubskich lub zakopiańskich — kto wie, może by się to przyjęło, spodobało, znalazło naśladowniczki. Możeby powstały pierwsze wytwórnie czy współdzielnie, a gdyby te rzeczy potrafiły znaleźć odbyt za granicą, cóż za chluba dla tych, co by pierwsze te niesłusznie zaniedbaną gałąź przemysłu zdołały ożywić. Oczywiście wzory musiałyby być odpowiednio stylizowane i najściślej dostosowane do współczesnych wymagań. Ale widzę, że zagalopowałam się zbyt daleko w krainę marzeń. wrócimy do

rzeczywistości, czyli do panującej obecnie mody haftów. Można śmiało stwierdzić, że modne są hafty — wszystkie. Może najmniej lubiane są łańcuszkowe hafty maszynowe, jako zbyt zbanalizowane i obnoszone. Natomiast ogromną popularnością cieszą się hafty krzyżkowe, przypominające mi rozbijającą naiwne robótki, wykonywane w latach dziecińczych. Takimi naiwnymi, grubymi krzyżkami zdobi się szerokim szlakiem dół sukni, brzegi kołnierza i rękawów, paski i kieszenie. Ulubionym motywem są różyczki równie naiwne w rysunku, jak ścieg, którym są wykonane. Niezmierna łatwość techniczna tego ściegu powinna zachęcić każdą z pań do wyszycia sobie własnoręcznie letniej sukienki. Ślicznie zdobi haft krzyżkowy sukienki dziecięce, motywy kwiatowe, roślinne i zwierzęce stanowią niewyczerpane źródło uciechy dla naszych milusińskich. Rzadziej spotyka się tak zwany haft „cerowany”, równie łatwy i prędko w wykonaniu i wcale ładny w efekcie. Zawsze cieszą się zasłużonym uznaniem pracowity haft atłaskiem i niezmiennie żmudna „peinture a l'aiguille”. Ten ostatni sposób, rzeczywiście do złudzenia naśladowujący malowanie, zyskuje coraz więcej zwolenników. Olbrzymie szale zahafto-

wane w bukiety kwiatów, mistrzowsko cieniowane drobnymi ściegami czarodziejskiej igły, jedwabne haftowane torebki, rozrzucone motywy na brzegach powiewnych tunik, wszystko to cieszy się ogromnym powodzeniem i jest nabywane za ogromne pieniądze. Przed tego rodzaju pracą musi się cofnąć niewprawna ręka amatorki, natomiast artystki, które zdołały przeniknąć tajniki tego iście wysokiego hafciarskiego sztatu, mogą dyktować swe warunki, gdyż są naprawdę bez konkurencji.

Ogólna tendencja jest do haftów kolorowych i jaskrawych. Na letnich, bawełnianych materiałach najlepiej wygląda bawełna d. m. c. dająca się prać, na jedwabiach haftuje się jedwabiem, a czasem włóczką, co tworzy niespodziewane, oryginalne efekty. Na materiałach wełnianych, łączy się nieraz w jednym ornamentcie, włóczkę, jedwab, paciorki i maluchne metalowe lusterka, okrągłe i kwadratowe, stanowiące nowość sezonu. Obok egzotycznych motywów ludowych, ornamenty wzoruje się na projektach malarskich, przyczem w tej dziedzinie pierwszeństwo mają kubiści i futuryści, o których w sztuce czystej dawno we Francji już mówić przestano. Rzeczywiście w ornamentcie sukni, który powinien być przedewszystkiem szczęśliwym zestawieniem plam kolorystycznych, mogą pozornie

dzikie elukubracje kubistyczne znaleźć całkiem trafne zastosowanie. Hafciarki *peinture a l'aiguille* za wzorem swoich mistrzyń japońskich, przenoszą na tkaniny galezie kwiatów i motyle, zda się żywe. Natomiast kubizm jeszcze lepiej niż w hafcie daje się zastosować w aplikacjach. Zarówno jak hafty robi się i aplikacje najrozmaitsze: z aksamitu na suknie, z sukna na gazie. Dziwaczne i prześliczne są aplikacje z kolorowej skóry na jasnych lekkich jedwabkach i georgette'ach. Tu nie mogę się oprzeć pokusie zacytowania pewnej sukni z grubego, jak skóra małowego jedwabiu *bois de rose*, szeroko otwartej na kamizelkę z białej georgette'y, zdobnej w ornament z aplikacji z zielonej i pasowej skóry. Obawiam się, że mój opis nie jest w stanie dostatecznie oddać wrażenie tej niesłychanie oryginalnej i wykuintnej całości. Aplikacje ze złotej i srebrnej skóry na kołnierzach, mankietach i kieszeniach naszych palt i kostjumów są wciąż modne, choć już nieco zbanalizowane. Wesole rannę sukienki na wieś i na plażę, można robić wycinając motywy z deseniowego kretonu i przenosząc je



na kremowy woal lub surowy jedwab. Lekko przyklejone i przyhaftowane okrętką girlandy róż lub wisien zamienia zwykłą białą suknię na model w swoim rodzaju jedyny. Aplikacje z kretonu są nieocenione jako odrobienie przy sukienkach dzieciennych. Jedna z moich znajomych przywiozła córeczce sukienkę z Paryża, wywołującą ogólny entuzjazm. Była to zwykła koszulka czy torebka z morelowego kreponu, na kieszonkach były zaaplikowane tańczące na tylnych łapach niedźwiadki. Nic nie jest w stanie opisać zadowolenia i dumy czteroletniej młodej osoby, która z rączkami w kieszeniach demonstrowała towarzyszom zabawy swoje „kotki sare“. Przy odrobinie pomysłowości i dobrej woli mogłybyśmy naszym dzieciakom sprawić dużo podobnych przyjemności i to bardzo tanim kosztem. Czemuś pośredniem między haftem a malarstwem jest modna obecnie liworyzacja.

W efekcie przypomina do złudzenia maszynowy haft złotym sznureczkiem. Robi się ją zapomocą nakładania na materiał cieniuchnego wałeczka specjalnej gliniki, którą się posypuje metalowym proszkiem. Liworyzacja wymaga umiejętności i dużej wprawy. W połączeniu z malowanym ornamentem, aplikacją lub atlasowym haftem, może stworzyć bardzo ciekawe i bogate efekty. Mam wrażenie, że liworyzacja stanowi niebezpieczną konkurencję dla haftu paciorkowego, jako przędza w wykonaniu i trwalsza. W każdym razie widzimy, że zamięlowanie do zdobienia ubrania haftem wzrasta i że technika staje się coraz doskonalsza, coraz bardziej urozmaicona i coraz bogatsza. Każda z nas, mniej czy więcej przez fortunę uprzywilejowana potrafi modę haftu do swej toalety, odpowiednio do potrzeb towarzyskich i stanu kieszeni, wykorzystać i zastosować.

Well.



POLSKA WSPÓŁCZESNA.

XI.

STOSUNKI NARODOWOŚCIOWE.

Spis z roku 1921 wykazał, iż polacy w Rzeczypospolitej posiadają przewagę sięgającą 70% ludności. Pozostałe 30% stanowi ludność innej narodowości, a przeważnie rusini (ukraińcy), żydzi, białorusini i niemcy. Narodowość ludności była spisywana według indywidualnych zeznań poszczególnych osób. Rezultaty spisu dosyć ściśle odzwierciedlają istotne ustosunkowanie się narodowości w Polsce. Ewentualne błędy spisu nie przekraczają zapewne nigdzie jednego procentu ludności.

Stosunki wyznaniowe

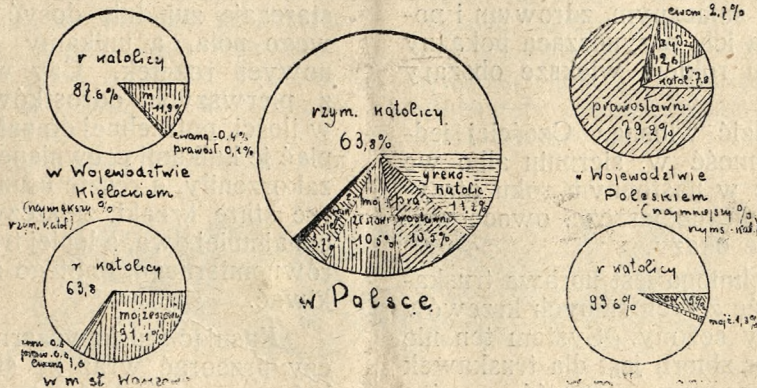
Spis potwierdził wniosek uczonych polskich o zupełnem spolszczeniu Wileńszczyzny, czemu starała się zaprzeczyć statystyka urzędowa rosyjska. Spis stwierdził także, ponad wszelką wątpliwość, zupełną polskość korytarza gdańskiego i Pomorza. Ponadto spis wykazał na Polesiu, na Rusi Czarnej i na Wołyniu znacznie większe ilości ludności poczuwającej się do narodowości polskiej, niż się spodziewano. Do opowiedzenia się za polskością skłoniła tę ludność zarówno tradycja, niewygasła pod uciskiem rosyjskim, jak i atrakcyjna siła młodego Państwa polskiego i polskiej kultury.

Z pośród narodowości, jakie według danych spisu zamieszkują Państwo polskie, polacy posiadają większość przeważającą, ponad 75%, w 8 województwach. Najwięcej polaków, liczy stosunkowo województwo krakowskie (93%) i kieleckie (91%). Większość absolutną, powyżej 50%, lecz mniej niż 75%, posiadają polacy w dalszych 5 województwach. Z nich, w województwie wileńskim posiadają większość 58%,

w województwie lwowskim 57%, w województwie nowogrodzkim 54% i na Śląsku 71%. W Warszawie polacy stanowią 72,3%. Poważną mniejszość polską, powyżej 25%, posiadają polacy w województwie tarnopolskim, gdzie liczą 45%. W mniejszości są w województwie poleskim, gdzie liczą 24% i w województwie wołyńskim, gdzie ich jest 16,8%. Wszędzie jednak polacy posiadają przewagę kulturalną i gospodarczą. Niema ani jednej gminy wiejskiej lub miasta, w którymby nie było żywiołu polskiego.

Drużga co do liczebności narodowości ziem polskich, rusini, liczy w stosunku do całej ludności polskiej 14,3%. Rusini posiadają większość absolutną w województwie stanisławowskim, 69,8%, i w województwie wołyńskim, 68,4%. Większość względna rusini posiadają nadto w województwie tarnopolskim (49,9%). Poważną mniejszość stanowią w województwie lwowskim (35,9%), a mniejszość w województwie poleskim (17,7%). Pozatem nikielko rusinów zamieszkują niektóre

powiaty województwa krakowskiego (zwłaszcza powiaty gorlicki i nowosadecki), a także województwa lubelskiego (hrubieszowski, biłgorajski, włodawski i chełmski). Rusini polscy różnią się między sobą tak co do języka, jak też co do stopnia kultury. Wyżej posunięci pod względem kulturalnym są rusini zamieszkali w województwach stanisławowskim, lwowskim i tarnopolskim (ukraińcy), niższą kulturę posiadają rusini wołyńscy. Naród ukraiński jest w stadium tworzenia swej warstwy inteligentnej i stawia, mimo poważnej przeszłości historycznej, pierwsze kroki na polu własnej ideologii narodowościowej. Trzecią z ko-



lei narodowość ludności ziem polskich stanowią żydzi. Żydzi liczą w całej polsce 7,8% ludności. Żydzi są ludnością przeważnie miejską. Wyjątkowo znaczny procent żydów zamieszkuje miasta ziem wschodnich, miasta b. Galicji i miasta b. Kongresówki. Z poszczególnych województw najwięcej żydów zamieszkuje w województwie białostockiem (12,5%) najmniej w województwach pomorskiem i poznańskim, gdyż tylko 0,1%. Miasto stoł. Warszawa liczy 26,9% żydów. Inne miasta liczą jeszcze więcej żydów, zwłaszcza Białystok, Kraków i Lwów. Najmniej żydów w miastach zamieszkuje w Toruniu, w Poznaniu i w Bydgoszczy. Żydzi do niedawna stanowili społeczeństwo związane głównie ideą religijną. W ostatnich latach zeszłego stulecia zaczęły się wśród żydów szerzyć idee narodowościowe, wyrażające się bądź w ruchu sjonistycznym, zmierzającym do stworzenia osiedla narodowego żydowskiego w Palestynie, bądź w ruchu żydowskim miejscowym, tak zwanym ruchu ludowym (folkistycznym).

Białorusini stanowią 3,9% ludności całej Polski. Białorusini zamieszkują województwa: wileńskie, nowogródzkie, poleskie, a częściowo także białostockie. Większość względna posiadają białorusini w jednym tylko województwie poleskiem, gdzie stanowią 42,6%. Mniejszość poważną reprezentują białorusini w województwie nowogródzkim (37,7%) i w województwie wileńskim (25,7%). W województwie białostockiem białorusini stanowią tylko (9,1%), ale w powiatach bielskim, grodzieńskim i wołkowyskim liczą prawie 40% ludności. Samookreślenie narodowe białorusinów jest rzeczą niedawną. Ich przeszłość historyczna by-

ła raczej przeszłością etnograficzną niż narodowościową. Inteligencja białoruska poczyną dopiero powstawać, a poczucie narodowościowe nie jest dostatecznie ugruntowane wśród mas.

Obok białorusinów należy wymienić ludność zamieszkałą w województwie poleskiem, która określiła swoją narodowość, jako „tutejszą“. Ludność ta, to przeważnie poleszacy, stanowiący szczepek przejściowy pomiędzy białorusinami, a rusinami. „Tutejsi“ stanowią większość absolutną w jednym powiecie województwa poleskiego, mianowicie w powiecie drohiczyńskim, a poważną mniejszość w kilku innych powiatach Polesia.

Niemcy stanowią na terytorjum Polski 3,9% ludności. Najwięcej Niemców zamieszkuje w województwie śląskiem, gdyż około 28%. Dalej idą województwa: pomorskie 18,7%, poznańskie 16,7% i łódzkie 4,6%. Najmniej Niemców zamieszkuje w województwach kresowych (oprócz Wołynia), i w województwie kieleckim. Miasto Warszawa liczy 0,1% Niemców. Niemcy zamieszkali na ziemiach Polski reprezentują 2 grupy. Jedni — to Niemcy poznańscy, ślascy i pomorscy — związani silnymi węzłami z państwem niemieckim — drudzy to koloniści niemieccy w pozostałych częściach państwa, często spolonizowani narodowościowo, a niemal zawsze pod względem państwowym.

Oprócz narodowości opisanych, spis ludności wykazał w Polsce nieznaczne ilości litwinów, w województwie wileńskim i białostockiem), rosjan, Czechów, Łotyszów, tatarów i innych.

TRUSKAWKI.

Truskawki są owocem smacznym, zdrowym i poszukiwanym, to też uprawa ich, przynosząca pokaźny dochód, zajmuje z każdym rokiem większe obszary ziemi.

Truskawki można sadzić wiosną. Częściej jednak wykonywamy tę czynność w sierpniu albo we wrześniu, dzięki czemu już w następnym roku otrzymujemy pierwsze, choć nieliczne jeszcze, owoce wystające w bardzo dorodne okazy.

Najbardziej rozpowszechniona jest uprawa truskawek trzyletnia, to znaczy, że z tych samych krzewów zbieramy owoce przez trzy sezony. System ten nie jest fałszywy, ale drugi rok zbioru jest dla truskawek punktem kulminacyjnym, poczem plenność, a więc i opłacalność plantacji, zmniejsza się w szybkim tempie. To też coraz więcej zwolenników zyskuje sobie uprawa dwuletnia, przykro niszczyć plantację po upływie powtórnego owocowania, gdy zdrowe i silne krzaki obiecują jeszcze pozornie najobfitsze plony. Ale trudno rzadzić się sentymentem, gdy rachunek, zamiast znacznych zysków, wykazuje widoczny ich spadek. Plantacja, traktowana prawidłowo, przynosi w III roku plon mniejszy, niż w II, a natomiast daje tak wielką liczbę wosów, że samo usuwanie ich pochłania znaczne nakłady na robociznę, a pozostawione — wyczerpują rośliny mateczne. Już w drugim roku wytwarzają truskawki obfite wasy, więc do-

starczają zupełnie dosyć materiału na założenie nowego pola, a unikamy mozolnego usuwania wciąż nowych rozetek. Czy więc nie korzystniej wybrać z pierwszych odrostków najsilniejsze egzemplarze w ilości, potrzebnej do założenia nowej plantacji, przypiąć je kulkami drewnianymi do ziemi, żeby się rychlej zakorzeniły, a resztę usunąć, zaś po skończonym zbiorze stare krzaki zniszczyć? Jeżeli będziemy mieli co najmniej dwa, a lepiej trzy pola na zmianę, to zawsze równomiernego, obfitego zbioru będziemy mogli oczekiwać.

Kasując truskawczarnię, można ziemię przekopać, czy przeorać wraz ze starymi krzakami truskawek, które wówczas będą stanowiły pognój zielony. Jeszcze przed zimą grunt ten należy obsadzić jarmużem, brukselką, obsiać fasolą szparagową albo szpinakiem. W następnym roku, przeznaczamy ten teren pod okopowe (ziemniaki, buraki, pietruszkę) na nawozie, i starannie oczyszczamy przez lato z chwastów, w trzecim roku, uprawiamy groszek na zbiór młodych strączków, albo fasolę szparagową, które to rośliny wcześniej schodzą z pola, a ziemię zubożającą w azot. Następnie grunt przekopujemy głęboko, albo nawet robimy płytką regulówkę (30 do 40 cm), dając nawóz blisko powierzchni ziemi, bo im lepiej ją doprawimy, tym obfitszych i dorodniejszych plonów będziemy mieli prawo się spodziewać.

Doskonale zakorzenione i bujnie rosnące odrostki przesadzamy, najlepiej w połowie sierpnia, z zagronka, na którym się zakorzeniały, albo z inspektu, w dobrze doprawioną ziemię, wciskając rośliny o tyle, żeby stały nieco niżej od powierzchni zagrona, ponieważ podczas wzrostu wyłażą z ziemi. Zagłębienie to powinno być miskowate, i po polaniu należy wyłożyć je przegniłym nawozem, który będzie utrzymywał wilgoć, a zarazem dostarczał roślinie pożywienia.

Skoro rozsada się przyjmie, należy zasilić ją rozcieńczonym krowieńcem, a przed nadejściem silniejszych mrozów sprawdzić, czy rozłożony nawóz jeszcze chroni korzenie, względnie obłożyć rośliny na nowo, ale tak, żeby serce nie było przykryte, bo wygnije. Rozsada, dobrze przygotowana i dość wcześnie posadzona na właściwe miejsce, zapuszcza korzenie przed zimą tak głęboko, że znosi nasze zimy doskonale.

Truskawki bywają sadzone na ziemi płasko wygrabionej, albo na redlinach. Wybór tej, czy innej metody postępowania należy uzależnić przede wszystkim od warunków miejscowych. W ziemiach suchych sadzenie na redlinach byłoby wręcz szkodliwe, podczas gdy w ziemiach nadmiernie mokrych jest wskazane. Przy uprawie planetami wygodniejsza jest uprawa płaska, natomiast przy uprawie konnej redlenie jest wygodniejsze. Wreszcie na wybór układu powierzchni wpływa i metoda samego rozstawienia rzędów roślin.

Każdy niemal hodowca zaleca inne odstępki przy sadzeniu truskawek. Np. rząd od rzędu 50 cm., rośliny w szeregu co 40 cm, lub 65 cm na 35 cm. Niektórzy zalecają sadzenie rozsady pojedynczo, inni po trzy sztuki razem, albo po trzy sztuki w trójkąt, w odstępach po 10 cm, trójkąty zaś od siebie oddalone co 35 do 40 cm, a rzędy co 60 cm. Dość korzystna okazała się też metoda, polegająca na tem, że w dużej plantacji, w której uprawa odbywa się przy użyciu sprzężaju, odstępki pomiędzy rzędami wynoszą 80 cm, przy obróbce ręcznej 60 cm, rośliny zaś w szeregu co 25 cm. Przy tak ciasnym sadzeniu grunt zostaje zaraz w pierwszym roku należycie wyzyskany, zanim krzaki osiągną pełnego rozwoju. Skoro to jednak nastąpi, byłoby im za ciasno, więc natychmiast po zbiorze ostatnich owoców, co drugi krzak ulega wyrwaniu, dzięki czemu pozostałe uzyskują możliwość doskonałego rozwoju i zgromadzenia zasobu sił do obfitego owocowania w roku następnym.

W celu ułatwienia zbierania owoców i uniknięcia

deptania zawiązków przez zbierających, sadzą niektórzy truskawki w rzędy ustawione parami. Więc dwa rzędy odległe od siebie na 50 cm, rośliny w szeregu co 25 cm, a każda para rzędów jest przegrodzona przejściem szerokości 70 do 80 cm, po którym pracownik swobodnie się porusza, zbierając owoce najprzód z jednej, a następnie z drugiej strony przejścia. Dzięki temu ziemia pomiędzy rzędami pozostaje stale pulchna.

Jeżeli na truskawkach pojawia się zaraza w postaci czarnych okrągłych plam na liściach, to trzeba dążyć do zwalczenia jej, ponieważ plamy zmniejszają powierzchnię czynną liści. Zaraza ta pojawia się najprzód na starych liściach, więc po zbiorze, gdy rośliny zaczynają energicznie wytwarzać nowe liście, można bez wielkiej szkody stare i chore ścinać i spalić. Żeby zaś zapobiedz pojawieniu się plam na młodych liściach, zaleca się zrosić plantację przynajmniej dwukrotnie, w odstępach 10 do 14-dniowych, 1%-ym roztworem Arbosnu, względnie taką samą cieczą bordoską.

Również nie należy zapominać, że truskawczarnię po zbiorze trzeba obficie zasilić nawozem i ziemię przekopać, starannie wybierając wszelkie korzenie chwastów trwałych, jak perz, szczawik, oset i t. p. Czyste i pulchne utrzymywanie powierzchni ziemi, aż do mrozów, wpływa bardzo wydatnie na plon roku następnego.

Z bardzo licznych odmian truskawek największe rozpowszechnienie zyskały sobie:

Sharpless — najwcześniejsze, czerwone, o wielkich, spłaszczonych, często nieforemnych owocach. Rosną silnie i owocują dobrze nawet w ziemiach piaszczystych, suchych.

Noble (Laxtons Noble) — najbardziej rozpowszechniona odmiana o owocach okrągławych, szkarłatno czerwonych, dużych, lub bardzo dużych. Mniej wczesna od poprzedniej, odznacza się bujnym wzrostem i obfitem owocowaniem. Udaje się lepiej w nizinach, niż w położeniu wysokim.

Król Albert Saski jest najpóźniejsza, wymaga ziemi żyznej, wilgotnej, i starannego okrywania na zimę. Owoce ma wielkie, kulisto okrągłe, różowe, bardzo smaczne.

Ananasowe prawie zupełnie białe, średniej wielkości, udają się dobrze w ziemi żyznej, wilgotnej, gliniastej, obficie zasilonej starym, przetrawionym kompostem.

Stan. Schönfeld.



ZUŻYTKOWANIE JABŁEK.

Jabłka są najbardziej rozpowszechnionym owocem w Polsce, bo kiedy dobre gatunki gruszek dojrzewają dopiero w byłej Kongresówce, śliwki, a przynajmniej ich wykwinniejsze gatunki, zaczynają czuć się dobrze dopiero na południe od Wilna, najwspanialsze gatunki jabłek udają się doskonale na najbardziej na północ wysuniętych Kresach Rzeczypospolitej, — te, najwspanialsze sady jableczne, bodaj że

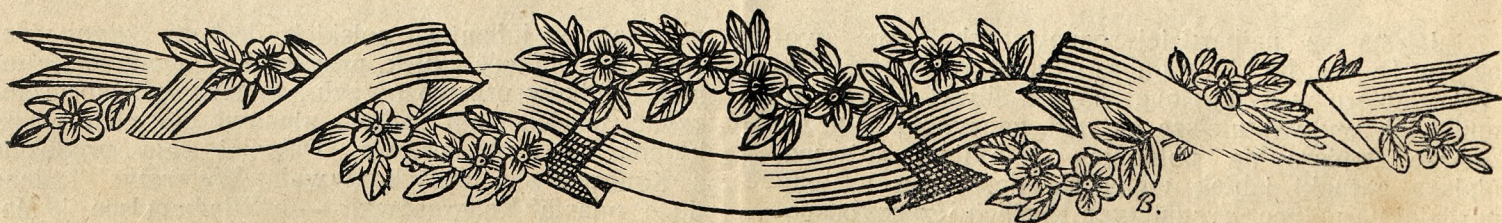
powstały w Inflantach polskich, dziś do Łotwy należących. Obfitość jabłek, przy braku dogodnych, a taniach środków przewozowych, zamiast przynosić korzyść właścicielom sadów, stanowi dla nich wielki kłopot — plagę prawie. Dawniej całą produkcję z Kongresówki, użytkowywała Warszawa i inne duże miasta Kongresówki, — o Wielkopolsce i Małopolsce nie mówię, gdyż stanowiły one części in-

nych państw zaborczych i miały inne rynki zbytu, zresztą przy łagodniejszym klimacie produkowały inne, trwalsze, zimowe gatunki, nie potrzebując natychmiastowego zbytu. Cała produkcja jabłek Kresów wschodnich i północno-wschodnich, kierowana była na Petersburg, skąd już rozchodziła się dalej na całą północ i wschód Rosji, pozbawione zupełnie tego owocu, a zużytkowujące ich olbrzymią ilość na wyroby cukiernicze głównie. Oprócz tego jabłka nasze szły do Finlandji, gdzie jabłka, mimo umiarkowanego klimatu, przeważnie nie dojrzewają. Handel z Petersburgiem był zupełnie dobrze zorganizowany. Kupcy, hurtownicy, z nastaniem wiosny, a właściwie dwa razy: raz w czasie kwitnienia jabłoni, drugi raz w końcu czerwca, kiedy zawiązki na drzewach już są wyraźnie widziane, wysyłali swoich agentów, którzy oglądali sady, obliczali możliwości przyszłego urodzaju, przeprowadzali kalkulacje i najczęściej wydzierżawiali je w początku lata. Od tej chwili wszelkie kłopoty, połączone z dozorowaniem od kradzieży, a co zatem idzie, łamaniem gałęzi i całych drzew nieraz, podpieraniem przeciążonych nadmiarem owocu gałęzi, zbieraniem opadków i owoców samych, przechodził na dzierżawcę. Ten rodzaj dzierżawców był najsolidniejszy, — dzierżawa była płacona z góry, co dawało tak niezbędną w czasie sianokosów i żniw gotówkę, specjaliści dbali o o gatunek towaru i o warsztaty pracy na następne lata, nie niszczyli drzew, umiejętnie zbierali, segregowali i pakowali owoc. W lata mniejszych urodzajów, lub w mniejszych sadach, dzierżawcami byli zwykle miejscowi staroobrzedowcy, był to już pośledniejszy nieco gatunek dzierżawcy, — dzierżawa na raty, umiejętność obchodzenia się z drzewami i towarem znacznie mniejsze, ponieważ jednak taki dzierżawca, najczęściej zamieszkały gdzieś w sąsiedztwie, dbał o swoją opinię, stosunek właściciela do niego, a jego do ogrodu był zwykle poprawny. Najokropniejsi byli żydzi, — gdy właściciel sadu, nie mogąc sobie przy nawale robót letnich, dać rady ze zbiorem i spieniężeniem owocu, zdecydował się wydzierżawić sad żydowi, mógł być pewien, że życie codzienne będzie miał zatruć. Sucho — jabłka nie urosną, mokro — będą plamiste i popękane, wiatr — poobija je, zanim dojrzeją i t. d. i t. d., żadne zakazy, żadne pilnowanie służby nie pomagały — żyd, lub ktokolwiek z jego licznej, roztrasowanej w słomianych budkach rodziny, zawsze się gdzieś wślizgnął, gdzieś dopadł właściciela, aby napłakać się, najęczeć, a to wszystko w celu zniżenia sumy dzierżawy, płaconej oczywiście kapanią. Kartofle, ogórki, kapusta, nikły z warzywnego ogrodu w chwilach, kiedy stróż nocny już spać idzie, a pan ogrodnik jeszcze nie wstał, czasem nikły jaja, a nawet kurczęta z kurnika. A kiedy przyszło do zbiorów, gałęzie różne gęsto pokrywały ziemię, jak po huraganie, któryby przeszedł. Jabłka nie zbierano, lecz otrząsano gwałtownie, — serce się krajało, patrząc na to, zdawało się, że gorzej być nie może. Tymczasem stało się gorzej, — po wojnie zbytu na jabłka wcale nie ma. Już nie mówiąc o staroobrzedowcu, — burlakiem na Kresach wschodnich zwanym, — który jest tylko pięk-

nem, samem marzeniem lat ubiegłych, żaden żyd nawet sadu nie bierze, a jeśli weźmie, to za cenę siana, które zebrać z sadu zdoła. Jabłonie się uginają i łamią pod ciężarem owocu, wsie okoliczne czynią całe najazdy już nie z koszami i worami, lecz z całymi wozami, i rabują niedojrzały, zielony owoc, a właściciel skłopotany, zapracowany od rana do nocy, chcący jako tako dźwignąć gospodarkę rolną, zaprowadzić inwentarz, macha tylko zniechęcony ręką, widząc, jak praca wieloletnia koło sadu idzie na marne. Ile to fabryk wina owocowego mogłoby stanąć na tych kresach, żeby się znalazły odpowiednie kapitały i fachowcy. Jeżeli dzisiaj nasze fabryki w Warszawie i Poznaniu wysyłają wagonami wino owocowe do krajów skandynawskich, jedne Kresy północno-wschodnie mogłyby takim winem zalać całą Europę północną. Brak tylko inicjatywy — no i brak fachowców. Już tu i ówdzie po dworach, dworach i plebanjach, wyrabiają wino na użytek domowy i wino wcale smaczne, ale są to jeszcze amatorskie próby, — rezultat zawsze nieprzewidziany — czy wino będzie, ale czy jasne, czy ciemne, czy mniej lub więcej słodkie, to się powiedzieć nie da. Daleka jestem od tego, aby zniechęcać panie, robiące te wina, przeciwnie, niech ich robią jaknajwięcej. Niech to wino usuwa z codziennego użytku trującą wódkę, niech zastąpi piwo, od którego przy własnym, niekupowanym, owoc jest tańszy i smaczniejszy, lecz taka domowa fabrykacja nie zastąpi nigdy masowej, fabrycznej produkcji.

W niej jednej znajdziemy rozwiązanie kwestji korzystnego zbytu jabłek z olbrzymich sadów kresowych. Nietylko zbytu, lecz i ratunek tych sadów. Bo z chwilą, gdy zbytu owocu będzie zapewniony, właściciel będzie mógł łożyć na utrzymanie tego sadu, na okopanie i obielenie, ogrodzenie i stróżowanie od kradzieży. W każdej okolicy znajdzie się parę pań, które przyjadą jesienią wysłuchać kursów przetworów owocowych, urządzanych przez Towarzystwo Miłośników Ogrodnictwa, z dyrektorem Schönfeldem na czele, na których profesor Iwanowski tak szczegółowo wykłada winiarstwo, potem trzeba się postarać o praktykę w jakiej fabryce win na Pomorzu, lub Pozańskiem, a może się uda zebrać kapitał, choć nie z niedużych udziałów się składający i zaczynać w Imię Boże. Przyrzady do gniecenia owoców i do tłoczenia, nie są kosztowne, kosztowne są piwnice i naczynia. O budowaniu piwnic, marzyć dzisiaj trudno, ale w wielu pałacach dzisiaj niezamieszkałych, a nawet doszczętnie zrujnowanych, znajdują się duże piwnice, dające się zastosować, powstawiamy więc beczki, najlepiej już po winach francuskich lub węgierskich. Zresztą nie chcę wchodzić w detale, chodzi mi o rzucenie myśli, która bodajby się przyjęła. A tymczasem, zanim powstaną duże wytwórnie wina, niech same panie robią jaknajwiększe ilości tego zadość w życie wnoszącego trunku, na użytek rodziny i gości, — bo przecież my, Polacy, jesteśmy tak gościnnym narodem, że w największej biedzie jeszcze gościa czemś dobrem poczęstować jesteśmy radzi.

Pani Elżbieta.



ZALETY TOWARZYSKIE.

Życie towarzyskie po wojnie umarło. Teren ludzkiego porozumienia przeniósł się z salonu do dancingu, z zacisznego, damskiego buduaru do gwarnej, strojnej, modnej cukierni, na plac sportowy, wreszcie na ulicę, gorączkowem drgającą tętnem. Te ramy, w jakie ujęto dawne życie towarzyskie, przy ewolucji, która tak podstawowo wpłynęła na psychikę i warunki dzisiejszego bytu, byłyby bezwzględnie zbyt ciasne, drobniawcze i konwencjonalne. W epoce krótkich sukienek, obciętych włosów, swobodnie palonego papierosa, w epoce, która dąży do wybitnego na każdym punkcie wyzwolenia, koniecznością jest niezaprzeczoną staranie krepujących więzów przestarzałego konwensu, a jednak krańcowość, z jaką się do tego wzięto, zostawiła w życiu lukę, którą czemś przecież zappełnić trzeba.

Dzisiejsze młode pokolenie wnosi ze sobą w życie żywiołowy pęd, który, niczem wiatr halny, wyrывa z kcerzeniami stuletnie drzewa i unosi ze sobą wszystka to, co posiały ręce, nawykłe do szanowania więzów, i umysłowość, bezkrytycznie utartymi kroczącą szlakami. A jednak jeżeli zburzy się jakiś odwieczny gmach, trzeba na gruzach wznieść coś więcej prócz chaotycznego, a w ramy nieujętego nowatorstwa, które, niby wezbrana rzeka, ma sobie za zadanie unieść wartkim prądem wszystko na drodze napotkane.

Jest dzisiaj w społeczeństwie naszym cały zastęp ludzi, w tak zwanym wieku średnim, dla których pod wieloma względami brakuje na świecie miejsca. Sytuacja ich da się określić słowami: „Przerośli — i nie dorośli“. Przerośli starannem wyczyszczeniem duchowości, kulturą, którą wnieśli ze sobą w życie, kulturą, wyssaną z mlekiem matki, poczuciem umiaru towarzyskiego i życiowego, zmysłem etycznym, który jest częścią składową ich istoty, taktem wrodzonym, a tak rzadkim w dzisiejszych nowych czasach, które rządzą nowi ludzie — niedorośli brakiem racjonalnego przystosowania do realnych warunków życia, które zaskoczyły szczególnie kobietę wczorajszą, usuwając ją w cień — pomimo wszechstronnego nieraz wykształcenia i wielkich moralnych wartości — na korzyść codziennych tuzinkowych indywidualności, które jednak z powodu swego fachowego wykształcenia pierwsze w życiu zajmują dzisiaj miejsce.

Zanim jednak z powierzchni nowego świata zniknie bez śladu wszystko to, co jednostki, o których mowa, dać ze siebie są zdolne, zmysł praktyczny, któremu tak chętnie i racjonalnie wznosimy ołtarze, powinien oddać nam, w zamian za kult, jakim go otaczamy, jedną cenną przysługę, będzie nią wchłonięcie w siebie tych niezaprzeczalnych wielkich wartości życiowych, a po odpowiednim przetrwaniu i zmodernizowaniu, przystosowanie do doby dzisiejszej.

Że słowa, które tutaj piszę, nie trafią w próżnię, sądzić mogę po tylokrotnie obserwowanych przejawach, do jakich należy chętnie grupowanie się ludzi dokoła osób, które umieją roztoczyć ten właśnie nieuchwytny czar negowanych dzisiaj wartości — zalet towarzyskich.

Jedną z pierwszych i najgłówniejszych w tym rzędzie będzie umiejętność milczenia. Na pierwszy rzut oka twierdzenie to technicznie paradoksem, a jednak prośzę wniknąć głębiej w istotę rzeczy i przyznać, jak mało osób umie w porę milczeć, umie w milczeniu właśnie wysłuchać aż do końca, bez względu na to, czy treść opowiadania, czy temat przez kogoś drugiego poruszony ma dar zainteresowania i przykucia uwagi. Umieć słuchać drugich uważnie, a wnikliwie,

nie rozbijać wypowiedzianych zdań bezprzedmiotową uwagą, nie rwać wątku czyjejś myśli pytaniem zbęd-nem zgoła, umieć wytworzyć dokoła mówiącego nastrój uważnego zainteresowania — to szczyt doskonałości i rzadko spotykana zaleta. W ślad za nią kroczy umiejętność podtrzymywania rozmowy i prowadzenia jej, dar dobierania tematu, który wyklucza wszelkie drażliwości, jest pociągający, a każdej dostępny indywidualności, nie grozi ostrem starciem, polityczną dysputą, która w większych towarzyskich zgromadzeniach sięje zazwyczaj rozdzwięk i wywołuje nastrój wrogi, przyjmując na siebie rolę śmiertelności pocisku, który z zabójczą siłą uderza w radosny gwar towarzyskiego porozumienia. Rozpatrując zalety towarzyskie z punktu widzenia pani domu, której rolą jest baczne czuwanie nad każdym i wszystkimi, muszę podkreślić, jako bezcenną — umiejętność zjednoczenia towarzystwa i wytworzenia nastroju, w którym każda poszczególna jednostka czuje się faworyzowaną, bez względu na to, czy w danym zbiorowisku ludzkim jest elementem czynnym i wydajnym, czy też biernym.

Cenna jest też w rozmowie umiejętność unikania tematów osobistych, które niektórymi osobami upajają się bezkrytycznie, nie zdając sobie sprawy z tego, jak mało interesującym jest dla ogółu zebranych szereg wydarzeń, trosk, czy radości naszych. Tematu tego należy starannie unikać, nawet tam, gdzie mamy do czynienia z osobami bliskimi i bardzo życzliwymi jest on nużący i wkracza łatwo w dziedzinę niepotrzebnych, a nudnych zwierzeń.

Zamykając ustęp omawiający milczenie i rozmowę, zwrócić muszę uwagę na cechę wielu młodym osobom wspólną — hałaśliwość, która wszędzie, tak w życiu prywatnem, jak i towarzyskiem, w domu, czy lokalach publicznych jest rażąca i w wysoce złym tonie, a cechuje zazwyczaj jednostki źle wychowane i mało kulturalne. Odpowiednią modulacją głosu należy do koniecznych warunków pewnej zewnętrznej doskonałości.

W życiu towarzyskiem nic nie zastąpi i nie dorówna naturalności i swobodzie. Nie mam na myśli swobody, tak zwanej powojennej, która przekreślając wszystko i wszystkich b'je pokłon własnemu ja — ale pełną umiaru i taktu, swobodę towarzyską, która umie zapanować nad każdą sytuacją, a w obcowaniu z ludźmi równej miary, niżej, czy wyżej od nas stojącymi, kładzie wdzięk i urok, jakiemu oprzeć się trudno. W parze z uznaniami powyżej doskonałościami chodzi również i uprzejmość — cecha, nad wszystkie, berło nosząca pierwszeństwa. Zaletę tę, niestety, coraz u nas rzadszą, winniśmy wszyscy wziąć sobie gorąco do serca, ćwiczyć w niej siebie i drugich, zając się najgorliwszą jej propagandą, otoczyć ją specjalnem staraniem i opieką, jak coś cennego, coś, czemu grozi stopniowy, a nieunikniony zanik.

Do zalet towarzyskich zaliczyć trzeba i pewną umiejętność przechodzenia do porządku dziennego ponad faktami i sytuacjami, w które wplączę nas niespodziewany zbieg okoliczności, a które podkreślone, czy zauważone, staną się źródłem zakłopotania dla stron obu. Nie widzieć i nie słyszeć graniczy czasem z godnem poklasku mistrzostwem.

Nasuwa mi się na pamięć pewna cytata, która odpowiednio trawestowana będzie źródłem towarzyskiej doskonałości. „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzić“ — „nie obmawiajcie, aby was nie obmawiano“. Bez względu na to, czy w wypadku tym rzeczywiście, w zamian za powściągliwość, z jaką odnosić się be-

dziemy do bliźnich naszych, oni równą nam odpowiadzą powściągliwością — starajmy się, jaknajusilniej przyjać sobie za zasadę unikanie rozmowy o drugich. Sam fakt roztrząsania spraw cudzych, nicowania czyjegoś „ja” w jego nieobecności jest niesmaczny i nieetyczny, a w dodatku zawsze przeciwko nam się obróci, bo trudno wierzyć w to, aby cośkolwiek z rozmowy naszej nie doszło do wiadomości danej osoby i nie wykopało przepaści pomiędzy nią a nami, nie zabiło szczerzej nieraz życzliwości i sympatii, jaka budziła się ku nam w jej sercu, a przytem nie zraniło jej głęboko i nie pobudziło do odwetu.

Nie nie godzi takim taranem w życie towarzyskie, w jego trwałość i rozkwit, jak dzisiejsza tendencja zaborcza. Dewiza, pod której hasłem nowe pokolenie kroczy w życie, jest jaknajwięcej brać, dając ze siebie nic, lub zaledwie to co koniecznie potrzeba. A ludziom tak wiele dać ze siebie można! Wartości to nierealne, bo wszak zainteresowania, współczucia, pamięci, serdecznego słowa, miłego uśmiechu, przyjaznej życzliwości, pomocnej dłoni, co chwiejne podtrzyma kroki, nie przeliczy nikt na brzęczącą monetę, a jednak jest to kapitał procentujący nieraz silniej i trwalej, niż pożyczka dolarowa, kapitał, na odsetki od którego nie liczymy, a które spadają na nas w ciężkiej chwili niczem boża manna i godzą z życiem.

Bez ludzi, bez ich przyjaźni i życzliwości żyć trudno. Zawiązać stosunki umie każdy — utrzymać — tylko wybrani, bo jest to prawdziwa sztuka i trud prawdziwy.

W dziedzinę życia towarzyskiego wkracza też i umiejętność ubrania się. Nigdy zbyt strojnie, a zawsze starannie, gustownie i elegancko — oto tajemnica dobrego i wykwintnego wyglądu, bo jak słusznie mówią francuzi: *l'élégance est faite de discretion*“, a dyskrecja, dyskrecja w ubiorze, w postępowaniu, w słowie i w czynie, to najlepsza i najwiedzielsza nasza życiowa sojuszniczka. Kto nosi w sobie zarodek prawdziwych wartości serca, umysłu, dowcipu, kultury i ogłady, zawsze i wszędzie zauważonym wyróżnionym i docenionym będzie, a miejsce w uprzywilejowanych gronie przypadnie mu w udziale. Bo sąd nawet tych ludzi, którzy przechylają się ku dzisiejszym nowatorskim prądom, ma w sobie dziwną dozę sprawiedliwości i umie wyławiać perły, gdyby one nawet najskromniej w wód drzemały głębinie, a co dziwniejsze, wyzbywając się dobrowolnie i uporczywie ich blasku, tęskni jednak do tej dyskretniej opalizacji, jaka nieśmiertelnie się perła prawdziwa i umie odróżnić ją i docenić wśród licznych powojennych falsyfikatów. Prawdziwa kultura towarzyska to niezaprzeczenie perła rzadka.

W. N.....cka.

„RZUCAM MYŚL“.

Kiedy oglądam rysunki i plany mieszkań robotników amerykańskich, — przeważnie oddzielnych domków na przedmieściach dużych miast, — lub kiedy czytam opisy apartamentów, zamieszkiwanych przez drobną burżuazję, (odpowiednik naszej pracującej inteligencji) zaczynam być brzydko zazdrosną, a jednak wogóle zazdrości w naturze nie mam. Nie jest to zazdrość egoistyczna, gdyż, chociaż nie mam takiego mieszkania, jakie miałam przed wojną, jednak jakiś własny dach nad głową Bóg mi mieć pozwolił. Chodzi mi tutaj o tych nieszczęśliwców, którzy całymi rodzinami, nieraz po pięć i sześć osób, — wiem nawet o dziewięciu, — gnieźdzą się w jednym pokoju, a szczytem marzeń dla nich jest — własne, dwupokojowe mieszkanie. „Dwupokojowe“ z kuchnią, z możliwością przebrania się nie „za parawanem“, zjedzenia obiadu, niegotowanego na kopącym prymusie, uprania tej trochę bielizny, co jeszcze ocalała, w domu, nie oddając jej na szarpanie szczotkami i palenie chlorkiem w pralniach. Więc ludzie ci, którzy nieraz mieli wspaniałe pałace, a prawie zawsze obszerne, wygodne dwory lub domy, nie idą w swoich marzeniach dalej, niż dwa pokoje, byle własne. A robotnik amerykański musi mieć „parlour“ lub „sitting room“, jadalnię od parły, dla gości, bo na codzień jada w czyściej, jasnej kuchni, gdyż żona jego nie chce codzień sprzątać dywanów jadalni, musi mieć tyle sypialni, ile osób w rodzinie, i ładną łazienkę. Francuz znowu musi mieć koniecznie salon, gabinet, jadalnię, tyle sypialni ile osób w rodzinie, łazienkę, kuchnię, — ba, nawet oddzielny „fumeur“, aby ramy złocone i firanki od dymu nie ucierpiały. Po wojnie, oczywiście, nie każ-

dy to ma, ale ambicją każdego jest to „appartement le 7 pieces“, i każdy do niego dąży, chociażby te „pieces“ były małe, malusieńkie.

U nas do zdobycia mieszkania są dwie drogi: kupić gotowe mieszkanie od innego lokatora, — lub od gospodarza, — a raczej od obu razem, co wynosi sumę dla ludzi pracy zupełnie niedostępną, lub się zgłosić do jakiej kooperatywy i czekać lata całe, aż się to własne mieszkanie wybuduje, płacąc corocznie coraz to większe sumy na rachunek tej budowy, — gdyż wszystko drożeje, i nigdy nie będąc pewnym terminu, kiedy na koniec ten własny dach nad głową zostanie wykończony. Rząd przychodzi z pomocą głównie wojskowym i trochę, znacznie mniej, urzędnikom państwowym. I budują się te mieszkania od 2 do 4 pokoi, zależnie od możliwości płatniczej przyszłego właściciela, pod jednym względem podobne do owych francuskich „appartements“, pokoiki są malusieńkie, kuchienki jeszcze mniejsze, sufitów ręką dosięgnąć można. Jedno tylko dobrodziejstwo: jest prawie wszędzie łazienka. Na tę łazienkę właśnie chciałam zwrócić uwagę zainteresowanych. W jednym z pism gospodarczych francuskich natrafiłam na opis mieszkania, — nie projektowanego, lecz już istniejącego, gdzie były dwie łazienki: jedna dla rodziców, a druga dla dzieci, — ta druga, dziecienna łazienka, w godzinach dziennych służyła za pralnię. Jest rzeczą ustaloną, że oddawanie bielizny do prania poza dom niszczy ją doszczętnie i to w bardzo krótkim czasie. Szumne ogłoszenia o praniu bez szczotek i chlorku, mocy płótnom i batystom nie dodają, rezultat jest zawsze ten sam: po kilku, najdalej kilkunastu pra-

niach, bielizna idzie w strzępy. Jeżeli nawet w niektórych domach mamy pralnie wspólne, używalne kolejno, — to używać jej nie chce pracząca lub służąca, bo jej tam nudno, bo w suterynach ciemno i wilgotno, a i pani domu ma pewnie wątpliwości, co do celowości takich urządzeń. Pracząką najczęściej jest osobą zupełnie nieznaną, powierzyć jej całe pranie bielizny rodziny jest dosyć ryzykowne, pokusa dodania chloru do przyspieszenia roboty, duża. Pozostaje więc pranie w kuchni. Nawet w stosunkowo dużych kuchniach obecnych, wiemy jakie to są straszne te dni „wielkiego prania“, jak zastawiona kotłami z bielizną i kociołkami z gorącą wodą blacha nie daje możliwości przyrządzenia na czas żadnego posiłku, jak szumowiny i piana mydlana obryzgują ściany, a podłoga tonie w wodzie. Cóż dopiero będzie w tych małych, jak pudełka, kuchenkach mieszkań nowych? Będą one miały przeważnie centralny opał i gazowe kuchenki i piecyki, pozatem pozostanie miejsce na stół, parę stołków i — osobę gotującą. Na szczęście, jakiś bufet i skrzynia na węgiel przeważnie są projektowane w ścianie, deska do prasowania też może być ruchoma, podejmowana do góry i przymocowana do ściany. Lecz gdzie ustawić balję? Gdzie grać wodę? Gdzie gotować bieliznę? Otóż sądzę, że na pralnie dałaby się prawie zawsze zażytkować łazienka. Jest ona po wyjściu do pracy ojca rodziny i do nauki dzieci, do wieczora zupełnie swobodna, ma podłogę i ściany wyłożone kaflami, a zatem łatwa do utrzymania w czystości i sprzątnięciu po zalaniu wody, — więc wodę do prania mieć zawsze w niej można, jest w środku mieszkanka, więc pod okiem i dozorem stałym gospodyni domu. Chodzi więc tylko o takie urządzenia, aby nad waną można było umocować balję do prania, — płukanie i moczenie bielizny może się odbywać w samej wannie, — i żeby gdzieś był przyrząd z fajerką gazową, dosyć duży i mocny, aby na nim można było ustawić kocioł do gotowania bielizny. Czekałam wciąż wystawy budowlanej, zapowiadanej tej wiosny, chcąc po obejrzeniu planów nowych domów, tę sprawę poruszyć. Mamy już lato, sezon budowlany tegoroczny przypadnie, — zresztą nie wiem, czy to, co tu piszę trafi do przekonania panów architektów. Rzucam myśl tylko, może inni ją podejmą i w czyn wprowadzą.

Pani Elżbieta.



POTRTAWKA Z RAKÓW.

Trzydzieści dużych raków nagotować w wodzie z koprem i solą. Szklankę drobnej kaszki krakowskiej (maczka) przetrzeć z jajkiem i przesuszyć. Raki oczyścić, szyjki i łapki przechować, jadalne wnętrzności odłożyć oddzielnie, żołądki i kiszeczki odrzucić, skorupki górne odłożyć, drobne skorupki i spody raków utłuc jaknajdrobniej. Dużą łyżkę masła tłustego zasmażyć, włożyć utłuczone skorupki, smażyć tak kilka minut, poczem podać rosołem mięsnym lub rybny, a w braku ich wodę gotować dalej, masło czerwone, wypływające na wierzch, zlewać do oddzielnego rondelka, gdy masło przestanie wypływać, wycisnąć

masę przez czyste płótno i płyn ten przechować do zaprawy sosu. Jadalne wnętrzności raków usiekać, dodać garść siekanego koperku, łyżkę masła, szklankę tartęj suchej bułeczki, dwa jaja i tyle mleka lub wody, aby farsz nie był suchy, osolić, nadziać tym farszem rakowe skorupki. Jeżeli jest kawałek pieczonej lub gotowanej cielęciny lub kury, dodać ją usiekaną do nadzienia, co znakomicie jego smak podniesie. Tymczasem kaszkę ugotować na sypko z łyżką masła i dużą garścią zielonego koperku. Na zebranym maśle rakowym zrobić sos, zasmażając je z dwoma łyżkami mąki, rozprowadzić przecedzonym smakiem ze skorupki, zagotować, włożyć kwaterkę dobrej, gęstej śmietany. Skorupki faszerowane ugotować oddzielnie w osobnej wodzie. Na środku półmiska ułożyć drobną kaszkę, naokoło obłożyć skorupkami faszerowanymi, na kaszce ułożyć szyjki i nóżki rakowe, wszystko polać sosem, którego połowę podać jeszcze w sosierce, w tym celu sosu powinno być nie mniej litra. Posypać potrawkę koperkiem i wydać gorącą. Tej proporcji, o ile raki będą duże, starczy na dziesięć osób, — mniejsze, — na osiem.

SALATA Z POMARAŃCZ (przepis amerykański).

Dwie duże pomarańcze, obrane ze skórki, pokrajać na cienkie plastry, tyleż dojrzałych, dużych pomidorów pokrajać na plastry, dużą, łagodnego smaku cebulę pokrajać w cienkie plasterki. Salaterkę wyłożyć listkami kruchej salaty, ułożyć na to jasne, wewnętrzne listki, układać kolejno pomarańcze, pomidory i cebulę. Pokryć następującym sosem: sok z dużej cytryny, trzy łyżki oliwy, pół łyżeczki soli, trzy łyżki gęstej śmietany ucierać razem, aż się zrobi gładki sos majonezowy, dodać odrobinę białego pieprzu, zalać tem salate, posypać zieloną pietruszką, lub papryką. (Podaję przepis, jako wykonalny w naszych warunkach).

PIANKA Z BIAŁEK.

Dziesięć dużych jabłek winkowatych upiec, przetrzeć przez sito. Masę tę przełożyć do misy glinianej i ucierać drewnianym wałkiem lub łyżką, aż bieleć zacznie, dodać dwa świeże białka i ucierać dalej, po kwadransie ucierania wsypać trzy ćwierci szklanki cukru i ucierać dalej, aż masa zupełnie zbieleje i narosnie podwójnie przynajmniej. Przełożyć na półmisek, uformować ładną kopułę i podawać do mleka lub śmietanki.

ZIMNA LEGUMINA AMERYKAŃSKA.

20 deka biszkoptów, używanych do czekolady, pokrajać wzdłuż na połówki i wyłożyć tem dużą salaterkę. Pół litra mleka zagotować, całe jajko wbić z pół filiżanką cukru i łyżką mąki pszennej, dodać dla zapachu parę utłuczonych gorzkich migdałów, zmieszać z mlekiem i wciąż mieszając, ogrzewać na ogniu, aż zgęstnieje. 20 deka makaroników skropić syropem owocowym, aby dobrze zmiękły, 10 deka migdałów oparzyć, oczyścić z łupinek i pokrajać w paski. Pół litra śmietanki, lub młodej śmietany ubić na krem, dodać do smaku cukru aromatyzowanego wanilią. Połowę kremu zmieszać z dobrze ustudzoną masą mleczną. Na biszkopty układać rzędami makaroniki, masę krémową, migdały krajane i jakiegokolwiek osączone z syropu konfitury, (najlepiej wiśnie), gdy się wszystko ułoży, przykryć resztą bitej śmietany, ubrać wiśniami smażonemi i wynieść na parę godzin na chłód. Bardzo smaczna, chociaż dosyć kosztowna legomina.

Pani Elżbieta.

OGÓRKI NADZIEWANE.

Sześć dużych, twardych ogórków obrać cienko ze skórki, ścierać wierzch, łyżką wydrążyć ziarnka, lekko wewnątrz osolić. Obrać mięso z dużego kurczęcia lub z małej kury, przepuścić przez maszynkę, tłuc w moździerzu, dodając dwie rozmoczone w mleku i wyżęte bułeczki, garstkę koperku, pięć deka masła, pół filiżanki gęstej, słodkiej śmietanki, masa powinna być jednolita, jak śmietana, wbić w to dwa świeże jaja, doskonale wymieszać, osolić, osypać odrobinę białego pieprzu lub gałki muszkatołowej. Ogórki wytrzeć wewnątrz czystą ściereczką, nadziać przygotowanym nadzieniem pokryć ściętymi wierzchami, umocować te wierzchy drewnianymi szpilkami. Ułożyć ogórki w rondelku, w którym rozpuścić w pierw łyżkę masła, ogórki powinny stać jeden obok drugiego, aby słabe przymocowane wierzchy z nich nie pospadały. Zalać ogórki tak, aby je pokryło rosółem wygotowanym z kostek skórki i podrobów kury lub kurczęcia, z dodaniem włoszczyzny, postawić na ogniu, gotować wolno aż płyn się ugotuje do połowy. Ogórki wyłożyć na półmisek, szpilki drewniane wyjąć, do sosu dodać dwie łyżki słodkiej śmietanki i pół łyżki maki, zagotować raz, połać nim ogórki i wydać na gorąco.

PIERNICZKI CUKROWE.

Osiem jaj całych ucierać w makutrze z funtem (40 deka) cukru, dodać po trochu funt i trzy ćwierci (70 deka) najlepszej maki pszennej, łyżkę drobno usiekanej, smażonej skórki pomarańczowej, pół łyżeczki kordymonji, jaknajdrobniej utłuczonej, ćwierć łyżeczki utartego imbiru i po tyleż goździków i cynamonu. Gdy już masa gładko utarta, dodać filiżankę słodkich migdałów, pokrajanych w paski i dziesiątek gorzkich, drobno utartych. Ucierać dalej masę tak długo, aż od makutry odstawać zacznie. Wyrabiać wtedy małe, podługne pierniczki, układać na blachę, posmarowaną woskiem, lub masłem. Piec w niezbyt gorącym piecu, aby się nie przyrumieniły nadto, po zdjęciu z blachy, dosuszać jeszcze przez godzin parę w letnim piecu. Stary, klasztorny przepis.



DOBRE RADY.

Tłuste butelki najlepiej myją się zimną wodą. Należy włożyć małe kawałeczki waty hygroskopijnej czystej — nalać trochę wody i poruszać. Wata wybiera wszelki tłuszcz. Powtórzyć to kilka razy, zmieniając wate, a buteleczka będzie przezroczysta. Brud jakikolwiek i osad na dnie butelek — zejdzie zupełnie, jeśli wysypać trochę śrutu i wody i dobrze potrząsać. Śrut należy schować, gdyż łatwo go wymyć i znów użyć.

Każda plama atramentowa im prędzej będzie wywabiana, tem łatwiej puści, i tak plamy świeże na podłodze najlepiej szorować zaraz zimną miękką wodą z mydłem — zastarzałe trudno wychodzą. Wytrzeć je suchym piaskiem ręcznym, następnie polewać łutem wiotrułu zmieszany z pół szklanką wody miękkiej, a gdy plama zniknie, szorować łutem lub wodą z szarem mydłem. Jeżeli i to nie pomoże, trzeba sczeblować podłogę.



Opis sukien i robót do № 36.

791. Palto z kasha brązowego.
792. Palto z sukna ciemno piaskowego.
793. Spódnica w kratę i żakiet z gładkiego sukna.
794. Sukienka z haftowanym przodem dla małej dziewczynki.
795. Sukienka przybrana galonikiem i haftem.
796. Sukienka z przodu układana w fałdeczki.
797. Sukienka z materiału w paski i deseniowego.
798. Sukienka z crêpe de chine'u przybrana puklami ze wstążki.
799. Spódnica karbowana i bluzka z surowego jedwabiu.
800. Suknia z popeliny koloru bosi de rose.
801. Suknia z jedwabiu electric — rękawy z georgette'y.
- 802, 803. Dzienna i nocna bielizna dziecinna.
804. Suknia wełniana, przybrana pliskami z tego samego materiału.
805. Suknia z fularu deseniowego — żabot z białej georgette'y.
806. Suknia z lekkiej wełny, przybrana haftem.
807. Suknia z kamizelką z wełny w kratę.
808. Ubranko z dymki niebieskiej dla małego chłopczyka.
- 809, 810. Koszulka i staniczek dla małej dziewczynki.
811. Sukienka z surowego jedwabiu dla dziewczynki sześciolatniej.
- 812, 813, 814. Bielizna dla małych dzieci.
815. Nocna koszula dla dziewczynki sześciolatniej.
816. Nocna koszula dla dziewczynki dwunastoletniej.
817. Pyjama z satyny lub flanelki deseniowej.
818. Nocna koszula dla dziewczynki siedmioletniej.
819. Kombinacja dla dziewczynki ośmioletniej.
820. Kombinacja dla dziewczynki pięcioletniej.
- 821, 822. Wzory na kieszonki do serwet, haft kolorowy.
823. Sześć wzorów do wyszycia na sukniach, haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniach należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielka ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszcza“, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.